



OPOWIADANIA OLIMPIJSKIE
WARSZAWA 2022

SZYBCIEJ, WYŻEJ, SILNIEJ
= RAZEM



Popiersie Jana Parandowskiego –
rzeźba Alfonsa Karnego (1954)

Ogólnopolski Konkurs na opowiadania o tematyce olimpijskiej im. Jana Parandowskiego to jedyny nieokazjonalny konkurs literacki dla młodzieży, mający najdłuższą tradycję we współczesnej kulturze olimpijskiej. W roku 2009 został uznany przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski za jedną z 20 najlepszych inicjatyw edukacyjnych realizowanych przez narodowe komitety olimpijskie na świecie.

SZYBCIEJ, WYŻEJ, SILNIEJ = RAZEM

opowiadania olimpijskie

pod redakcją
Polskiego Komitetu Olimpijskiego

Warszawa 2022

Projekt graficzny okładki i ilustracja
Aga, Iga i Ada Pietrzykowskie
www.agapietrzykowska.com
www.studiope.pl

© Polski Komitet Olimpijski
Wybrzeże Gdyńskie 4, 01-531 Warszawa
tel. 22 56 03 700
www.olimpijski.pl
pkol@pkol.pl

Przygotowanie do druku
FALL
ul. Garczyńskiego 2, 31-524 Kraków
tel. 12 41 33 500
fall@fall.pl

ISBN 978-83-961246-7-8

Szanowne Czytelniczki, Szanowni Czytelnicy!

O ddajemy w Wasze ręce kolejny zbiór zwycięskich opowiadań, których autorzy – uczniowie szkół podstawowych z całej Polski – w mistrzowski sposób opisali swoje własne doświadczenia sportowe, realizację zasady fair play – na boisku, w szkole lub domu, pokonywanie własnych słabości, pracę nad charakterem. Opowiadania przedstawiają też losy znanych i mniej znanych bohaterów, którzy przybliżają nas do świata sportu i olimpizmu.

Konkurs literacki im. Jana Parandowskiego – brązowego medalisty olimpijskiego w dziedzinie literatury z Igrzysk XI Olimpiady w Berlinie w 1936 roku – jest organizowany przez Polski Komitet Olimpijski od 1989 roku i z pełnym przekonaniem możemy stwierdzić, że młodzi pisarze są bardzo uważnymi obserwatorami wydarzeń oraz świata, który na przestrzeni lat zmienił się w dynamiczny sposób. Zmiany te nie ominęły także sportu. Dzieci i młodzież przeżywają i opisują rzeczywistość w sposób bezpośredni. Z dużą wrażliwością przyglądają się relacjom pomiędzy ludźmi i trafnie nazywają najtrudniejsze sytuacje.

Choć przegrana, porażka, smutek i upadek występują w opowiadaniach równie często jak marzenie, zwycięstwo, rekord i euforia, w ostatecznym rozrachunku sport przedstawiony w opowiadaniach cechuje wielkie pragnienie dobra i chęć odnalezienia miejsca w świecie. Doskonale oddają to tytuły książek z poprzednich edycji ze zwycięskimi pracami, jak choćby: *Radość stadionu*, *Sztafeta pokoleń*, *Jesteśmy jedną drużyną*, *Dogonić siebie*, *Sport nie zna granic*, *Mierzymy wysoko*, *Gramy o przyszłość*, *Wracamy do gry*.

Tytuł tegorocznej publikacji nawiązuje do motta olimpijskiego zmienionego przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski w 2020 roku. Możemy stać się szybsi, sięgnąć wyżej, osiągnąć większą siłę, ale tylko razem, poprzez sport możemy zmienić świat na lepszy.

Milej lektury!

Andrzej Kraśnicki
Prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego

Młodzi sportowcy, bohaterowie opowiadań, starają się żyć zgodnie z mottem olimpijskim, jednak – jak na dobrą literaturę przystało – są przykładem, ile ich to „szybciej, wyżej, mocniej, razem” kosztuje.

Jak wielka bywa presja, głównie ze strony najbliższych. A z drugiej strony – jak mądrzy najbliżsi potrafią rozbudzić zainteresowanie sportem i ducha walki. Jak trudna bywa rywalizacja – która jednym dodaje skrzydeł, innych paraliżuje; jeszcze inni powoli uczą się z nią żyć. Jak długa jest droga do sukcesu – i jak trzeba do niego dorosnąć. Jak wiele uczą porażki. I jak trudno być wciąż czwartym czy piątym, wciąż poza podium. Jak dobrze, gdy potrafisz docenić swój sukces, porównując się nie do innych, ale do siebie z wczoraj, gdy byłeś/byłaś ciut wolniejszy/wolniejsza czy słabszy/słabsza niż dziś. I jak ważne, by był ktoś, kto – jak dobry trener – uświadomi ci, że to jest właśnie droga do zwycięstwa. Kto dostrzeże twój talent i pomoże ci go wykorzystać.

Bo sukces – nawet indywidualny – to zawsze wynik pracy wielu osób, stąd tak wiele w tych opowiadaniach portretów dobrych trenerów. Ale też autorytetów, wzorów do naśladowania. To często legendy sportu.

Te opowiadania, pisane w tak trudnym dla nas czasie, to jest także niezwykle cenny zapis historii – Wielkiej Historii – której jesteśmy świadkami. A niekiedy jej częścią, jak 19-letni biathlonista Jewhen Małyszew,

bohater jednego z opowiadań, tak niedawno reprezentujący Ukrainę na XXIV Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie, który poległ, broniąc swojej ojczyzny. Już nie ze sportowym karabinem w ręku.

W pamięci pozostaną portrety współczesnych młodych sportowców – tak barwne i różnorodne jak oni sami. Wytrwali. Podnoszący się po kontuzjach, zwałnieniach. Cieszący się z sukcesu. Ale też przeżywający gorzkie rozczarowania, gdy o ich drodze decyduje los – jak w przypadku młodego siatkarza, któremu trudno pogodzić się z faktem, że mimo pracy i talentu nie wyrośnie – dosłownie „nie wyrośnie” – na siatkarza.

Jednak „dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą” – a siły może ci dodać nawet kulawy piesek, który się nie poddał. I takich wzruszających scen – z dobrymi dziadkami, przyjaciółmi, rodzicami, kibicami (bo i o roli kibiców są te opowiadania), którzy pomagają ci poznać smak zwycięstwa – jest tu naprawdę wiele. I dobrze oddają one nie tylko rozterki i satysfakcję młodych sportowców, ale też zasady fair play, siłę i wartość sportu.

Dorota Koman-Szmigiero

Fundacja ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom

Myśli stają się czystsze i jaśniejsze

SZYBCIEJ

Jeżeli dzieci i młodzież mają słabo rozwiniętą inteligencję emocjonalną, to nie dlatego, że takie się urodziły, lecz dlatego, że tak zostały wychowane. Stawanie się człowiekiem jest rozłożone w czasie i dostosowane do wieku. Tymczasem dorośli nie dostrzegają sygnałów ostrzegawczych wysyłanych do nich przez dzieci i młodzież. Zamiast odpowiadać na pytania, rozmawiać, słuchać i interesować się ich życiem, bardziej zależy im na tym, aby kierować dzieckiem, a nie liczyć na jego samodzielny rozwój.

Nie należy stawiać dzieci – ani w życiu, ani w sporcie – wobec problemów, do jakich jeszcze nie dorosły. Dzieci same wiedzą, co zrobiły dobrze, a co źle, i szukają u dorosłych wsparcia, zrozumienia, opieki. Zamiast tego słyszą od rodziców, nauczycieli czy trenerów: „Weź się w garść”, „Przestań się mazgać”, „Zrób coś, aby zasłużyć na nagrodę” (...).

Zasadniczym celem sportu jest realizowanie marzeń. Nieodpowiednio ułożone marzenia powodują uszczerbek w rozwoju. W wypadku niektórych autorów naszego konkursu literackiego sport pełni

funkcję terapeutyczną. Boisko staje się drugim domem – w tym znaczeniu, że należy do środowiska rówieśników w znacznie większym stopniu, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka. Grając w piłkę, dzieci i młodzież uczą się komunikacji, dostrzegają własny wpływ na to, co dzieje się w drużynie. Oprócz norm i wartości określających charakter zachowań sportowych ważne są hamulce utrzymujące sport na ostrych zakrętach. Jest to szczególnie ważne, jeżeli podchodzi się do sportu i olimpizmu, jakby był produktem luksusowym (...).

Dziś traci na znaczeniu dawny model sportu oparty na atrakcyjnym wzorze pielgrzymia. W świecie ponowoczesnym rządzi bowiem zmiana. Na skutek cywilizacyjnego przyspieszenia mówi się nawet o szoku przyszłości. Bauman, poszukując metafor łączących pokolenia dzieci i młodzieży z pokoleniem rodziców i dziadków, używa określeń: włóczęga, turysta czy gracz (...).

Przybył nowy rozległy obszar oddany pod uprawę sportu, ważny dla dzieci i młodzieży, różny od tego, jaki uprawiają dorośli, którzy święcie wierzą, że celem sportu jest nagroda – *athla* – od której wywodzi się współczesny atleta, czyli ten, który ubiega się lub walczy o nagrody. Tymczasem dzieci do nagrody podchodzą inaczej, ma ona dla nich charakter przechodni.

Antyczny poeta Pindar głosił, że najwyższą nagrodą w sporcie jest pieśń ułożona na część zwycięzcy olimpijskiego. Dzieci są najlepszymi orędownikami sztuki sportowej, uczą się wrażliwości na piękno sportu w połączeniu z moralnością.

WYŻEJ

Wybór wartości z natury rzeczy zależy od sfery uczuć, a nie od praktyki. Napięcie podczas gry w dwa ognie jest takie samo na podwórku, jak i na igrzyskach. Emocje wyznaczają dystans człowieka do człowieka.

Olimpizm jest drogowskazem, a nie celem samym w sobie. Idzie tam, dokąd my idziemy. Po drodze usuwamy przeszkody utrudniające postęp (...).

Rewolucja informatyczna uratowała ostatecznie Igrzyska XXXII Olimpiady w Tokio w 2020 roku. Pandemia spowodowała, że trzeba było wrócić do sportu przy pustych trybunach. Na szczęście środki masowego przekazu, głównie radio, telewizja i internet wyprowadziły ruch olimpijski z okopów na otwartą przestrzeń. Autorzy prac konkursowych zauważyli, że w tej trudnej sytuacji lepiej radziły sobie sporty młodzieżowe, natomiast kryzys przechodziły sporty tradycyjne, takie jak boks, zapasy, podnoszenie ciężarów i w początkowej fazie rozgrywek gry sportowe odbywające – o ironio losu – bez udziału kibiców.

Szykujemy się do skoku wzwyż. Im wyżej zawieszona poprzeczka, tym większa nadzieja. Antoni Kępiński pisał w książce *Rytm życia*: człowiek jest przede wszystkim wielkością moralną, buduje się dzięki bohaterstwu drugiego i buduje się dzięki swojemu bohaterstwu.

Bohaterom okazujemy wdzięczność. A wdzięk pociąga. Jest odmianą piękna, które dzieci i młodzież odnajdują w zabawie. Dorosły też poznaje siebie w zabawie, odkrywa wtedy etapy stawania się pełną osobą.

SILNIEJ

W sztuce nie ma ścisłej zależności między myślą a czynem. Poznanie i działanie występują jednocześnie. Zauważył to Pelé: kiedyś w piłkę nożną grało się tak, żeby sama gra dostarczała widzom piękna. Dzisiaj liczy się skuteczność (...).

Język to gimnastyka myśli. Jeśli nie jest poddawany systematycznie treningowi, zostaje zdegradowany do narzędzia codziennej mowy. Jest to dewiza naszych autorów zwracających uwagę na artystyczny wyraz opowiadań olimpijskich i ich metaforyczny wymiar literacki.

Wnikliwy krytyk antycznego sportu Bronisław Bieliński dowodził, że podobieństwa, jakie występują między dawnym a współczesnym sportem, nie odnoszą się do scenografii i rekwizytów, ale polegają na podobnej filozofii życiowej, sile wyobraźni i usiłowaniu wyjścia z labiryntu na wolność.

Jan Parandowski, gdyby miał okazję przeczytać naszą książkę, niekoniecznie od razu zauważyłby jej tytuł: *Szybciej, wyżej, silnie = razem*. Zwróciłby przede wszystkim uwagę na emocje zawarte w języku, gdyż to emocje przyciągają czytelników do literatury.

Wystarczy obraz sportu ująć w ramy ogólnej kultury, aby zdać sobie sprawę, że kultura jest jedną z najsilniejszych, o ile nie najsilniejszą dziedziną życia. Kultura jest naszym bogactwem, naturalnym zasobem, którego wielu nam zazdrości. Jak złota czy ropy albo diamentów.

RAZEM

Dzieci i młodzież wybierają sport jako atrakcyjną zabawę. Uprawiają zarazem sport jako sztukę opartą na aktywnym wysiłku fizycznym, zakotwiczonym w tradycyjnej kulturze. Dzieje się to przy okazji pobudzających emocji i jednocześnie w warunkach sprzyjających rozrywce (...).

Nie ma możliwości ani potrzeby przywoływania wszystkich tematów zgłoszonych w konkursie. Książka zawiera prace wyróżnione za wartości literackie, o których Olga Tokarczuk powiedziała, że są niezwykle darem człowieka.

W naszym konkursie rolę mecenasa pełni Polski Komitet Olimpijski, który sztuce sportowej poświęca wiele uwagi. Na gruncie mecenatu wyrosła osobliwa forma edukacji olimpijskiej, łącząca siłę i piękno, aby polskiej duszy dać sprawne polskie ciało.

dr Krzysztof Zuchora



Prace nagrodzone

W XXXII OGÓLNOPOLSKIM KONKURSIE
NA OPOWIADANIA
O TEMATYCE OLIMPIJSKIEJ
IM. JANA PARANDOWSKIEGO

zorganizowanym
przez Polski Komitet Olimpijski

pod patronatem
Fundacji ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom



WYBORU LAUREATÓW
KONKURSU W ROKU 2022
DOKONAŁO JURY W SKŁADZIE:

- dr Krzysztof Zuchora – przewodniczący jury, wykładowca na Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie, poeta, członek Komisji Kultury i Edukacji Olimpijskiej PKOl
- dr Zofia Czernicka – dziennikarka i prezenterka telewizyjna, Kawaler Orderu Uśmiechu, członkini Komisji Kultury i Edukacji Olimpijskiej PKOl
- Dorota Koman-Szmigiero – poetka, krytyk literacki, redaktor, jurorka licznych konkursów literackich i recytatorskich; od lat związana z Fundacją ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom
- prof. Grzegorz Leszczyński – kierownik Zakładu Literatury Popularnej, Dziecięcej i Młodzieżowej, dyrektor Centrum Języka Polskiego i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców Polonicum na Uniwersytecie Warszawskim

LAUREACI

Uczniowie

szkół podstawowych
klas IV–VI

ZUZANNA BUKOLT

LEON GAUDZIAK

MICHAŁ KICIŃSKI

WIKTOR LIPA

MARIANNA PAPLIŃSKA

MAJA PAWLACZYK

AMELIA POLAK

MAŁGORZATA SIECIŃSKA

FLORIAN WIENKE

MAJA WRÓBEL

ZUZANNA BUKOLT

Jestem uczennicą IV klasy Szkoły Podstawowej nr 10 z Oddziałami Sportowymi im. Jana Kochanowskiego w Bydgoszczy. Lubię chodzić do szkoły i poznawać nowe rzeczy. Od najmłodszych lat razem z rodzicami zwiedzam różne miejsca i poznaję historię różnych regionów. Czasami zdarza mi się nawet zostać przewodnikiem po mieście, oczywiście jestem wtedy pomocnikiem mojej mamy. W szkole lubię brać udział w konkursach, chodzę także na różne dodatkowe zajęcia. Należę do szkolnego chóru „Struny Kochanowskiego”. Lubię śpiewać i rysować. Taki ze mnie człowiek-orkiestra. Jestem zawsze uśmiechnięta. Staram się pomagać innym. W wolnych chwilach gram z rodzicami w planszówki, których mam już tyle, że nie chcą zmieścić się na półce. W weekendy jeździmy na wycieczki rowerowe, a gdy jest brzydka pogoda, to buduję miasto z klocków. Może kiedyś zostanę architektem, ale jeszcze tego nie wiem na pewno.



LEON GAUDZIAK

Cześć, mam 11 lat. Uczę się w VI klasie Szkoły Podstawowej im. Jigoro Kano. Patron mojej szkoły był twórcą judo. Na co dzień poza lekcjami mój czas wypełniają treningi skoków do wody w Pałacu Młodzieży oraz czytanie książek. Mogę powiedzieć, że to moje dwie największe pasje, które dają mi mnóstwo radości i satysfakcji. Skoki są również wyzwaniem, przy którym przezwyciężam swoje lęki. W zeszłym roku zdobyłem w swojej grupie wiekowej tytuł mistrza Polski.

Ostatnio odkryłem Szkołę Dawnych Sztuk Walki i uczę się posługiwać różnymi rodzajami broni białej. Bardzo dobra zabawa, polecam 😊



MICHAŁ KICIŃSKI

W tym roku w lipcu skończę 13 lat. Chodzę go VI klasy Szkoły Podstawowej w Bądkowie. Jest to miejscowość położona na Kujawach, które słyną z pięknych krajobrazów i wielu zabytków architektury romańskiej.

Magiczny świat książek zafascynował mnie już w dzieciństwie i wciąż odkrywam w nich coś nowego. Ta fascynacja pozwoliła



mi uwierzyć w siebie i spróbować pisać własne teksty, a kolejne sukcesy motywują mnie jeszcze bardziej. Oprócz pisania interesuję się również zwierzętami, a moją szczególną uwagę pochłaniają gady. Marzę o posiadaniu własnego węża.

WIKTOR LIPA

Mam 12 lat. Mieszkam w Sułoszowej – jednej z najdłuższych wsi w Polsce, która leży w pobliżu Ojcowskiego Parku Narodowego i Pieskowej Skały. Chodzę do V klasy Szkoły Podstawowej nr 2 im. Batalionów Chłopskich w Sułoszowej.



Moim ulubionym przedmiotem jest historia. Od najmłodszych lat interesuję się także piłką nożną. Obecnie gram w klubie sportowym Prądnik Sułoszowa. Jednak nie tylko gram, jestem też kibicem. Moimi ulubionymi zespołami są Real Madryt i Wisła Kraków. Zawsze będę im kibicował.

Oprócz gry w piłkę nożną lubię także pływać oraz jeździć na rowerze. W wolnych chwilach uwielbiam spędzać czas z moim pieskiem Riką. Wspólnie odbywamy długie spacery po przepięknej okolicy – Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. W weekendy dużo czasu spędzam z moim starszym bratem. Jego pasją także jest piłka nożna. To on zaszczepił we mnie miłość do tego sportu. Jeśli pozwala na to pogoda, udajemy się z bratem w piękne, malownicze miejsca, gdzie fotografujemy przyrodę oraz nagrywamy filmy dronem.

MARIANNA PAPLIŃSKA

Jestem uczennicą V klasy Społecznej Szkoły Podstawowej nr 10 STO im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Mam pogodne usposobienie, to ułatwia kontakty z ludźmi i sprawia, że dobrze się czuję w swojej szkole. Cenię jednak nie tylko poczucie humoru, ale też odpowiedzialność, uczciwość i wierność sobie. Podobno jestem dobrą organizatorką, zapewne dlatego koleżanki i koledzy powierzyli mi funkcję przewodniczącej klasy – mam nadzieję, że i oni, i moja Wychowawczyni są ze mnie zadowoleni. Sport też nie jest mi obcy – gdybym miała wybrać jedną dyscyplinę, byłoby to pływanie. Najbardziej lubię pisać, czytać i rysować. Piszę opowiadania, a ostatnio bardzo spodobało mi się wymyślanie mitów. Wciąż próbuję czegoś nowego: a to historia kryminalna, to znów przygody podróżników... Wyobraźnia podsuwa mi rozmaite pomysły, a ich realizacja sprawia mi ogromną przyjemność. Uwielbiam też czytać – przede wszystkim literaturę fantasy. Moja najulubieńsza książka to właściwie każda z serii *Zwiadowcy* Johna Flanagana. Czytając, podpatruję jego sposoby przyciągania uwagi czytelnika. Może kiedyś je wykorzystam?



MAJA PAWLACZYK

Urodziłam się 10 lutego 2010 r. w Oleśnie. Mieszkam w malowniczo położonej wsi Żytniów w województwie opolskim. Jestem uczennicą klasy V Szkoły Podstawowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Żytniowie. Mam dwóch braci, starszego imieniem Kacper i młodszego ode mnie Bartosza. Lubię czytać. Bardzo lubię *Chłopców z Placu Broni* oraz książki opowiadające o drugiej wojnie światowej. Od trzech lat trenuję gimnastykę artystyczną i taniec. Należę do Uczniowskiego Klubu Sportowego „Gwiazda” w Oleśnie. W wolnym czasie lubię przebywać ze swoimi zwierzętami – pieskami i kotem. Bardzo chętnie spotykam się z koleżankami z klasy. Organizujemy wspólnie wycieczki rowerowe oraz pogawędkę w parku. Kocham wakacje, ponieważ spędzam je z całą rodziną.



AMELIA POLAK

Mam 10 lat i jestem uczennicą IV klasy Szkoły Podstawowej nr 42 z Oddziałami Integracyjnymi im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Warszawie. Mieszkam koło stadniny, dlatego często mogłam obserwować konie. Sprawiało to,



że pokochałam te wspaniałe zwierzęta i stały się one moją pasją. Interesowałam się wszystkim, co z nimi związane, ale na początku nie jeździłam konno regularnie. Marzyłam, aby to się zmieniło, i tak też się stało – od trzech lat systematycznie odwiedzam stajnię. Moim ulubionym towarzyszem treningów jest Oskar, hucul ze stadniny PGR Lewandów. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. Teraz chciałabym, aby zrealizowało się moje kolejne marzenie, którym jest posiadanie własnego konia. Kocham konie i nie wyobrażam sobie życia bez nich, dlatego poświęciłam moje książki właśnie tym zwierzętom.

MAŁGORZATA SIECIŃSKA

Mam 12 lat. Uczęszczam do Szkoły Podstawowej nr 82 im. Jana Pawła II w Warszawie.

Lubię rysować zarówno na papierze w sposób tradycyjny, jak i w różnych programach graficznych. Szczególnie lubię rysować postacie z gier komputerowych. Od czasu do czasu piszę opowiadania, najchętniej dialogi między bohaterami. Wyobrażam sobie wtedy, że sama uczestniczę w takich rozmowach.

Mieszkam z rodzicami i starszą siostrą. Trzy lata temu członkiem naszej rodziny została kotka Luna. Jest przepiękna, taka elegancka i dystygnowana. Jest bardzo dobrze wychowana i nie sprawia żadnych problemów. Trudności pojawiają się dopiero w wakacje,



kiedy wraz z rodzicami wyjeżdżamy za granicę i musimy się na pewien czas rozstać z naszą ulubienicą.

Dużo podróżujemy i zwiedzamy coraz to inne zakątki Polski i świata. Preferujemy aktywne spędzanie czasu na świeżym powietrzu.

Nie wiem, kim chciałabym zostać w przyszłości, od niedawna zaczęłam się zastanawiać nad grafiką komputerową.

FLORIAN WIENKE

Urodziłem się w 2012 roku w Poznaniu. Obecnie mieszkam w Szamotułach, niedaleko Poznania, nad rzeką Samą. W okolicy przepływa też Warta i rozpościera się Puszcza Notecka. Moje miasto znane jest z Zamku Górków, Baszty Halszki oraz średniowiecznej bazyliki.



Uczę się w Szkole Podstawowej nr 3 im. Adama Mickiewicza w Szamotułach. To miejsce, w którym lubię przebywać – uczyć się, rozmawiać z kolegami i koleżankami. Uwielbiam też swojego wychowawcę. Z przedmiotów szkolnych najbardziej lubię lekcję wychowawczą, wychowanie fizyczne i matematykę. Pasjonuję się sportem, przede wszystkim piłką nożną i siatkówką. Trenowałem też tenis, karate i pływanie.

W wolnym czasie lubię czytać komiksy, takie jak: *Asteriks i Obeliks*, *Kajko i Kokosz*, *Tytus, Romek i A'Tomek*. Chętnie oglądam różne zawody sportowe – od piłki nożnej do lekkoatletyki.

MAJA WRÓBEL

Mam 12 lat. Jestem uczennicą V klasy Szkoły Podstawowej im. Adama Mickiewicza w Białaczowie. Urodziłam się 1 września 2010 r. w Opocznie. Mieszkam w Białaczowie – niewielkiej wsi w województwie łódzkim, w której miesz-



kał kiedyś Stanisław Małachowski, marszałek Sejmu Wielkiego. W pałacu, którego był właścicielem, tworzył się jeden z rozdziałów Konstytucji 3 Maja.

Lubię chodzić do szkoły, uczyć się, spotykać z przyjaciółmi. Wspólnie z babcią oglądam programy sportowe, przede wszystkim tenis, który wydaje mi się bardzo ciekawym sportem, ale też wymagającym wiele determinacji i poświęcenia. Przez jakiś czas trenowałam go i przekonałam się, że jest to trudna i wyczerpująca dyscyplina sportowa. Ale mimo swojej intensywności jest świetną formą aktywności fizycznej, taką, jaką lubię najbardziej.

Od dziecka bardzo kocham zwierzęta i staram się im pomagać, gdy tylko jest taka możliwość. W wolnym czasie uwielbiam jeździć na rowerze, słuchać muzyki, chodzić na spacer z moim psem Perelką. Oprócz tego eksperymentuję i tworzę własne preparaty mikroskopowe. Moim ulubionym przedmiotem jest biologia, a także matematyka, wychowanie fizyczne i język polski. Uwielbiam czytać książki, pisać opowiadania. Bardzo chętnie biorę udział w różnorodnych konkursach. Kocham pomagać ludziom i zwierzętom. W przyszłości chciałabym zostać lekarzem.

Zuzanna Bukolt

Prawy sierpowy z warkoczem

O to Jagoda. Dziewczyna jak wszystkie. A jednak inna, niepowtarzalna – jak każda z nas. Jeśli jej historia kogoś poruszy, to świat na chwilę stanie się lepszy.

Jagoda to średniego wzrostu, szczupła dziewczyna z długimi, ciemnobrązowymi włosami zawsze zaplecionymi w warkocz. Z tego, co wiem, jest bardzo dobrą uczennicą, zawsze przygotowaną do lekcji, nie wyróżnia się za bardzo wśród swoich kolegów poza jednym szczegółem: dużą różową torbą, z którą przychodzi na lekcje. To w niej trzyma wszystko, co potrzebne na trening po lekcjach. Jednak może zaczniemy od początku.

Jagoda nie zawsze była tak pogodną i radosną dziewczynką. Gdy się poznałyśmy, przechodziła dosyć trudny okres w swoim życiu. Jej świat w pewnym momencie się zawalił i nie umiała sobie z tym poradzić. Nasza bohaterka jeszcze kilkanaście miesięcy temu miała kochających rodziców, którzy dawali jej wszystko. Chodziła na najlepsze zajęcia dodatkowe w mieście. Jednak przez to nie było jej często w domu i nie zauważyła, że rodzice od pewnego czasu coraz mniej ze sobą rozmawiają, za to częściej się kłóca. Pewnego dnia lekcje skończyły się wcześniej i Jagoda przed

zajęciami przyszła do domu. Wchodząc do mieszkania, zobaczyła siedzących przy stole rodziców, leżały na nim dokumenty, a mama wycierała łzy z twarzy. Jagoda nie wiedziała, co się dzieje. Uznała, że rodzice, jak będą chcieli, to jej powiedzą. Nie chcąc przeszkadzać, tylko się przywitała i poszła do siebie odrabiać lekcje. Po pewnym czasie od pracy oderwał ją głos mamy:

- Jagoda, czy możesz do nas przyjść?
- Tak, już idę – odpowiedziała dziewczyna.

Czuła, że coś się stało. Idąc do rodziców, zobaczyła ustawione w przedpokoju walizki. W tym momencie pytania zaczęły same wypływać z jej ust: „Tato, wyjeżdżasz gdzieś? Na długo? Mamo, co się dzieje, czemu płaczesz? Powieście mi, co się dzieje? Nie jestem już małym dzieckiem!”

Jednak nie otrzymała za dużo odpowiedzi. Tata do niej podszedł, powiedział, że on z mamą biorą rozwód i że wyjeżdża. Pocałował córkę w czoło i wyszedł bez słowa, zanim Jagoda otrząsnęła się z tego, co usłyszała minutę wcześniej. Miała tyle pytań, jednak łzy nie pozwalały jej ich zadać. Przytuliła się tylko do mamy tak mocno, jak tylko umiała. W nocy nie mogła spać, cały czas myślała o tym, co teraz będzie. Rano w szkole też nie potrafiła się skupić. Po raz pierwszy nie poszła także na zajęcia dodatkowe, które tak lubiła. Mamie powiedziała, że chce z nich zrezygnować. Nie miała już na nie ochoty. Z dnia na dzień nastrój dziewczynki się pogarszał, tak samo jak stopnie w szkole. Nawet jej zachowanie było inne. Nie była już tą sympatyczną Jagodą, która wszystkim pomagała. Teraz obwiniała cały świat za to, co się stało. Zaczęła pyskować, wagarować, a gdy już była w szkole, to zawsze pakowała się w jakąś bójkę. Dziwne było to, że każdą walkę wygrywała. Często bywała z tego powodu u dyrektora.

Nauczyciele nie wiedzieli, jak sobie poradzić. Przyzwyczajeni do innej Jagody, nie mogli uwierzyć w jej nagłą przemianę. Wychowawczyni poprosiła więc mamę dziewczynki na rozmowę. Ta opowiedziała pani, co może być przyczyną tak nagłej zmiany. Wychowawczyni obiecała pomóc. Jednak bezskutecznie. Jagoda odebrała to jako atak na siebie. Powiedziała niegrzecznie swojej ulubionej dotąd opiekunce, że to nie jej sprawa i że ma się nie wtrącać, po czym wyszła i przez kolejne dni nikt w szkole jej nie widział.

Gdy pojawiła się na lekcjach, znowu rozpuściła się walka. Tym razem obserwował ją pan Marek, nauczyciel wychowania fizycznego. Był pod wrażeniem ruchów Jagody, poruszała się niczym zawodowiec na ringu. Próbuąc rozdzielić uczestników bójki, wpadł na pewien pomysł. Tym razem Jagoda nie wyładowała u dyrektora, a w kantorku pana Marka. Chciał dowiedzieć się, gdzie dziewczyna nauczyła się tak bić. Jagoda nie rozumiała, o co mu chodzi, nigdy nie interesowała się boksem, a w bójce ruchy same przychodziły jej do głowy. Nauczyciel nie mógł uwierzyć, gdy Jagoda mu powiedziała, że nigdy nie była na żadnym treningu i że nawet nie wie, jak nazywają się te elementy walki. Okazała się profesjonalistką z urodzenia.

Pan Marek miał dla Jagody pewną propozycję. Dał jej skrawek papieru, na którym znajdował się kolorowy napis: „Żeńska sekcja boksu”. Poprosił, aby przyszła na trening, ponieważ to może być lekiem na jej obecną sytuację. Obiecał też, że nie powie o kolejnej bójce dyrektorowi szkoły ani mamie Jagody. Dziewczyna nie była przekonana do cudownego pomysłu nauczyciela – bo niby jak boks ma jej pomóc w ukojeniu nerwów – ale bała się kolejnej wizyty u dyrektora, dlatego w końcu się zgodziła. Pomyślała, że pójdzie

tam tylko raz. Przecież dziewczyna nie może zostać bokserem!

Po południu, tak jak obiecała nauczycielowi, stawiała się na treningu. W sali było już kilka dziewcząt, rozgrzewały się na skakankach. Jagoda szukała wzrokiem pana Marka, zobaczyła go na drugim końcu sali z jakąś kobietą. Wuefista zdążył już opowiedzieć swojej znajomej o niesamowitym odkryciu. Jagoda podeszła do nich nieśmiało. Pan Marek przedstawił ją swojej znajomej, pani Aleksandrze, która była trenerką boksu. Pani Ola chciała na własne oczy zobaczyć, czy Jagoda naprawdę jest tak dobra, jak mówił pan Marek. Zawołała Anię, jedną z zawodniczek, i powiedziała Jagodzie, że ma się z nią zmierzyć na ringu. Dziewczyna była przerażona. Nigdy nie stała na prawdziwym ringu i to w dodatku w rękawicach bokserskich. Jednak podjęła wyzwanie. Przed walką otrzymała szybkie przeszkolenie – co i jak, na koniec pan Marek powiedział, że będzie dobrze i że ma być sobą. Dziewczyny weszły na ring, walka nie trwała długo. Jagoda ją przegrała, ale pani Ola zobaczyła to, co chciała. Wiedziała już, że ma przed sobą dziewczynkę o wybitnym talencie. Przez resztę treningu Jagoda ćwiczyła z Anią. Wyglądało na to, że dziewczyny się polubiły.

Po zajęciach pani Ola poprosiła Jagodę do siebie. Chciała się dowiedzieć czegoś o dziewczynce i o tym, gdzie nauczyła się tak bić. Jednak niewiele wskórała, bo Jagoda nie знаła swoich dziadków i dalszych krewnych. Trenerka zaproponowała jej możliwość uczestnictwa w zajęciach, ale potrzebowała zgody mamy. Jagoda dziwnie się czuła po tym treningu, była podkorytowana, zmęczona, a zarazem spokojna. Pierwszy raz od dłuższego czasu. Wróciła do domu, odrobiła lekcje jak dawniej i posprzątała swój pokój. Mama pra-

cowała do późna, więc dziewczynka postanowiła porozmawiać z nią następnego dnia. Cały czas myślała o treningu i o tym, że chce tam wrócić. Rano poszła do szkoły, jakby była zupełnie inną dziewczyną – znowu spokojna, skupiona, uczesana w przepiękny warkocz. Nauczyciele nie wiedzieli, co się stało, ale chyba się ucieszyli, że wróciła do nich dawna Jagoda. Tylko pan Marek znał prawdę.

Po lekcjach dziewczyna prędko pobiegła do domu. Jak najszybciej chciała porozmawiać z mamą o zapisaniu się na boks. Spodobał jej się trening i to, co się stało po nim. Pomimo przegranej walki wiedziała, że to jest to, co chce robić. Przegrała wprawdzie na ringu, ale wygrała w życiu. Mama czekała już na Jagodę. Spodziewała się, że dziewczynka chce o czymś z nią porozmawiać. Gdy tylko wpadła jak burza do domu, zaczęła opowiadać mamie o treningu, o Ani i pani Oli, o panu Marku i bójce w szkole. Zajął jej to dłuższą chwilę, ale mama słuchała w skupieniu. Na koniec Jagoda prosiła za swoje zachowanie, obiecała poprawę, ale też oczekiwała zgody na udział w treningach. Mama Jagody nie była do końca przekonana.

– Boks? Dla mojej dziewczynki? – wahała się. – Nie znasz innych dyscyplin sportu? Może gimnastyka artystyczna? – rzuciła propozycję jak kulą w płot.

Jednak widziała w oczach Jagody coś, czego nie dostrzegała od czasu sytuacji z rozwodem, dlatego się zgodziła, o ile córka poprawi oceny w szkole. Dziewczyna przystała na takie warunki, już nie chciała się gniewać i być marudną.

Zaczęła treningi niemal od razu. Chodziła na nie codziennie. Często też rozmawiała z Anią, zaprzyjaźniły się. Robiła duże postępy, a talent jej w tym pomagał. Nadal nie wiedziała, skąd wzięła jej się ta miłość

do boksu, bo przecież nie była przypadkowa. Popisowym ruchem Jagody na ringu był prawy sierpowy. To właśnie nim kończyła wszystkie walki. Pani Ola, widząc pasję dziewczyny i tak dobry refleks, wybrała ją do kadry na mistrzostwa Polski. Jagoda była szczęśliwa. Przed zawodami trenowała jeszcze ciężiej, a pomagała jej Ania, która również miała jechać na te zawody. Gdy nadszedł dzień zmagania, Jagoda była bardzo zestresowana. Bała się, że odpadnie od razu. Ania wtedy przypominała jej słowa, jakie powiedział na pierwszym treningu pan Marek:

– Bądź sobą!

Jagoda niewiele pamięta ze swojej walki, adrenalina wzięła górę. Walczyła do samego końca. Wygrała! Zwyciężyła, używając prawego sierpowego. Tym razem był on wyjątkowy, przeciwniczka nie wiedziała, co się stało. Na drugi dzień gazety pisały o młodej dziewczynie, o odkrytym talencie. Może o przyszłej złotej medalistce igrzysk olimpijskich. Jagoda nie myślała o tym teraz, ale czuła się szczęśliwa, bo znalazła spokój. Mama była dumna z córki, która poprawiła wszystkie oceny. Widać było, że jej pasja się rozwija. Dlatego postanowiła zrobić Jagodzie prezent. Pomyślała, że mogą posprzątać piwnicę i tam urządzić dzielnej zawodniczce małą salkę treningową. Żeby mogła trenować, kiedy tylko chce. Dziewczyna bardzo się ucieszyła z tego pomysłu. Od razu zabrała się za wystawianie niepotrzebnych kartonów. Jednak jeden przykuł jej uwagę. Był na nim napis: „Papa Stamm”. Zaniósła karton na górę i zawołała mamę.

– Co to za karton? Kto to ten Papa? – pytała Jagoda.

Otworzyły karton i znalazły tam dokumenty, zdjęcia i medale. Należały one do niejakiego Feliksa. Jagoda

szybko sprawdziła, kim był ten człowiek. Okazało się, że to wieloletni trener bokserski oraz zawodnik. Jagoda była zdziwiona, że te rzeczy były w ich piwnicy. Mama nigdy nie mówiła, że ktoś w rodzinie trenował boks. Z tego powodu dziewczynka zaczęła dopytywać mamę, czy go znała, kim dla niej był Papa. Mama spokojnie usiadła i zaczęła myśleć. Po chwili wstała i poszła do sypialni po jakąś teczkę. Były w niej akty urodzenia, ślubów i zgonów jej rodziny. Od lat zbierała takie rzeczy, ale nigdy nie miała czasu, aby je uporządkować. Gdy zaczęła je przeglądać, okazało się, że Feliks Stamm był dziadkiem mamy Jagody. Obie poczuły się nieźle zaskoczone, ale z drugiej strony w końcu wyjaśniło się, skąd u dziewczynki takie dobre rozeznanie na ringu.

Jagoda po skończeniu szkoły planuje iść w ślady swojego przodka. Chce być najlepszą na świecie zawodniczką, a w późniejszym czasie trenerką. Chce być sobą... Może kiedyś otworzy nawet własną szkołkę bokserską dla zbuntowanych dziewczyn. Dziewczyn takich jak ona. Niepowtarzalnych. Wyjątkowych. Takich – jak my wszystkie!

Leon Gaudziak

Moja przygoda ze sportem

Nazywam się Leon Gaudziak, mam 11 lat i chcę opowiedzieć o moich przeżyciach związanych ze sportem. Zacznę od tego, że trenuję skoki do wody. Jest to rzadki sport, a ja wybrałem go, bo to poniekąd rodzinna tradycja. Mój dziadek, w chwili gdy powstał Pałac Kultury (bo to tam trenuje się skoki do wody w Warszawie), zapisał się na nie, potem jego syn (mój wujek) też trenował ten sport. Następnie najstarszy syn tego wujka także trenował skoki. A teraz ja przejąłem pałeczkę.

Ogólnie mówiąc, skoki do wody to konkurencja, w której trzeba wykonać akrobacje z wysokości 1 metra, 3 metrów, 5 metrów, 7 metrów lub 10 metrów (zależy od dziedziny, w której się startuje). Pięciu sędziów ocenia skok, potem z ich ocen odrzuca się najwyższą i najniższą. Pozostałe dodaje się do siebie i mnoży przez współczynnik (każdy skok go ma i jest on w zależności od trudności skoku wyższy lub niższy). „Prekursorem” skoków był pewien ksiądz, który skakał do wody z klifów, by zarobić pieniądze dla potrzebujących. Z czasem sport ten stawał się coraz popularniejszy, aż w 1904 r. został włączony do rodziny sportów olimpijskich.

Teraz opowiem o swoich przyjaciółach i o całej społeczności skoczków. W Polsce jest tylko 6 basenów, na których można uprawiać tę dyscyplinę, a są to: basen w Pałacu Kultury w Warszawie, basen w Łodzi, basen w Poznaniu, basen w Tychach (to niedaleko Katowic), basen w Częstochowie i basen w Rzeszowie. Na każdym z tych basenów jest około 50 trenujących w wieku od 6. do mniej więcej 18. roku życia. Około 30 z tych 50 osób wie, jak mniej więcej skakać, a 10 z tych 30 osób jeździ na zawody. Właśnie z tą grupą 60 ludzi znam się z widzenia i z imienia, z dziesiątką blisko się koleguję, a z piątką się przyjaźnię. Ta piątka pochodzi z Warszawy i to moja grupa, z którą trenuję 3 razy w tygodniu po 2,5 godziny.

Natomiast moim naj-najlepszym przyjacielem, jakiego mam, jest Kuba. Kuba jest 13-latką, to on się mną opiekował, kiedy przyszedłem na skoki, i to on ma takie samo poczucie humoru jak ja i ma takie same zainteresowania co ja. Drugim najlepszym przyjacielem jest dla mnie Pola, siostra Kuby. Ma 15 lat i jest dla mnie jak starsza siostra, której nie mam. Innymi przyjaciółmi na skokach są dla mnie Piotrek i Michał. Każdy mówi na Michała „Miszka”, bo rodzice tak na niego mówią, a to dlatego, że rodzina Miszki pochodzi z Ukrainy. Piotrek jest dla mnie trochę jak mentor, bo to on jest najlepszy w grupie i to on czasami udziela mi rad, Miszka z kolei jest zawsze wyluzowany, ale z powodu wojny w Ukrainie chodzi teraz trochę smutny i nieco apatyczny, więc musimy stanowić dla niego wsparcie.

Zapomniałem powiedzieć o jeszcze jednym ważnym przyjacielu. Jest nim moja trenerka. Nazywa się Regina Krajnow-Synoradzka. Była reprezentantką Polski na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium w 1972

r., gdzie wywalczyła 18. miejsce w skokach z trampoliny. Trampolina to długa na 4,5 m, pokryta „papierem ściernym”, żeby się nie ślizgać, metalowa deska zielonego koloru, z której się skacze, aby skok był wyższy i z większą rotacją. Trampoliny są przymocowane tylko na wysokości 1 i 3 metrów. Trenerka jest dla mnie przyjacielem, ponieważ potrafi mnie dopingować i wspierać, ale potrafi mi też wytknąć wady i błędy. Do tego dzięki niej tak daleko zaszedłem, bo jestem zwycięzcą Grand Prix w skokach do wody i 4-krotnym mistrzem Polski w tej dziedzinie. Jednak w życiu i sporcie do zwycięstwa trzeba dotrzeć poświęceniem i bólem, o czym sam się przekonałem.

Jest pewien skok. Nazywa się *auerbach*. Przebiega on mniej więcej tak, że staje się przodem na wieży i zamiast wykonywać rotację do przodu, wykonuje się rotację w tył, w powietrzu się przekręca i w zależności od zamiarów spada się albo na główkę twarzą do ściany, albo na nogi, kiedy w trakcie chwili zrobi się 1 salto lub więcej. Profesjonalna nazwa to „skok przodem w tył”. Tak więc, kiedy dopiero się uczyłem tego skoku jakieś 3 lata temu, to nieszczęśliwym trafem kilka razy trafiłem rękoma o deskę. To było bolesne, bo ta wielka metalowa deska jest pokryta, jak wcześniej wspominałem, papierem ściernym. Stało się to dla mnie traumą. Przez rok unikałem tego skoku. Trenerka próbowała wielu sposobów. Namawiała mnie, abym skakał na sali gimnastycznej, a potem do wody, wchodziła ze mną na deskę i miała mnie odpychać podczas skoku, żebym nie uderzył się ponownie. Nawet specjalnie pojechaliśmy na basen do Tychów, bo tam są tylko skocznie o wysokości 1 m i 3 m, niski strop, dzięki czemu przymocowana może być do sufitu lonża, którą trenerka mnie asekuruje. Niestety zbyt się bałem i mimo lonży nie

skoczyłem. Byłem zrozpaczony i zdecydowałem, że odchodzę. Pożegnałem się z grupą i po prostu przestałem trenować. Wakacje spędziłem na nicnierobieniu.

We wrześniu zacząłem się zastanawiać, jaki sport wybrać. Nagle tata powiedział, że dzwoniła trenerka Regina i że bardzo chce, abym wrócił do skoków do wody, i gwarantuje mi, że nie muszę wykonywać *auerbacha* przez dwa najbliższe lata. Więc wróciłem. Przez rok ciężko trenowałem i osiągałem superwyniki. Jednak, kiedy zaczęło majaczyć przede mną widmo *auerbacha*, zacząłem się znów stresować. Tu z pomocą przyszli rodzice. Zaprowadzili mnie do psychologa sportowego, który miał mi pomóc. Powoli, acz skutecznie przestawałem odczuwać strach. Trenerka musiała to wyczuć, bo na pewnym treningu pół roku temu powiedziała do mnie:

– Leon, weź raz skocz *auerbacha*! – na co ja, lekko przestraszony odpowiedziałem:

– D-dobrze, spróbuję.

Stałem na desce, w głowie miałem gonitwę myśli, gdy nagle pomyślałem: – Dobra, raz się żyje – i zaraz po tym skoczyłem. To, czego się tak bałem, nie nastąpiło. I za każdym następnym razem – też nie.

Moim drugim problemem była kontuzja. Zaczęło to się tak: mieliśmy jechać na Grand Prix do Częstochowy, no więc pojechaliśmy wszyscy z tzw. „pałacowej grupy”, do której się zakwalifikowałem, i 4 trenerów, w tym trenerka Regina. W przeddzień zawodów, by oswoić się z basenem, zrobiliśmy na nim trening. Na treningu normalnie zaczęliśmy od rozgrzewki na sucho. Potem tradycyjnie weszliśmy do wody. Po wykonaniu wszystkich skoków z wysokości 1 metra, jakie miałem zaplanowane na zawody, poszedłem trenować swój program (czyli skoki, które mam wykonać na

zawodach) z 5 metrów. Na początku skoczyłem sobie „na nogi”, potem „łamany na głowę”. „Łamany na głowę” to skok, w którym człowiek stoi przodem do basenu, wyskakuje w powietrze, następnie w locie nogi i biodra zostają w pionie, a tułów, głowa i ręce zginają się do nich, tworząc tak jakby skłon w powietrzu. Potem nogi torem wahadła przenoszone są do pionu, przez co w tym momencie znajdujemy się w pozycji pionowej, głową w stronę tafla wody. Po tym wszystkim łączymy ręce nad głową, tworząc pozycję „na główkę”. Tak wygląda „stosunkowo prosty” skok, „łamany na głowę”. Po takiej krótkiej rozgrzewce przeszedłem do właściwego programu. Moim pierwszym skokiem był „półtora w przód, w łamanej”. Jest to skok, w którym wykonuje się salto z dokręceniem na głowę w pozycji łamanej, jest to taki bardzo głęboki skłon.

I właśnie wtedy przytrafiła mi się największa kontuzja, jaką kiedykolwiek miałem. Problem nie polegał na tym, że zrobiłem zły skok, trenerka mówiła później, że ten skok jak na moje umiejętności był idealny. Problem tkwił w basenie, po prostu był za płytki. Basen do skoków do wody w Częstochowie został wybudowany jakieś 40 lat temu. Wtedy wymogi bezpieczeństwa były zupełnie inne niż dziś. Nie przewidziano, że kiedyś chłopak o wystarczającej masie i umiejętnościach uszkodzi sobie szyję uderzając w dno. A ja to właśnie zrobiłem.

Skoczyłem tak dobrze, że wpadłem do wody jak igiełka. Poleciałem do dna (do głębokości 3,5 m) z taką prędkością i impetem, że nie zdążyłem rozłączyć rąk, zanim wałnąłem nimi o dno. Jednak impet był tak duży, że ręce się ugięły w łokciach i bardzo mocno uderzyłem głową o ręce oparte na dnie. Zrobiłem to tak mocno, że głowa błyskawicznie odchyliła się do tyłu,

przez co nadwyreżyłem sobie szyję. Kiedy po wynurzeniu zacząłem pochlipywać z bólu, od razu przybiegła trenerka i ratownicy.

Po chwili zapytali mnie, co się stało, a ja przedstawiłem im sytuację. Sprawdzili, czy nie mam przy padkiem wstrząśnienia mózgu, i wsadzili mnie w kołnierz. Zadzwonili po karetkę, bo mogłem mieć bardzo poważny uraz kręgosłupa. Kiedy karetka przyjechała, byłem już wysuszony i ubrany. Trenerka powiedziała, że pojedzie ze mną. W karetce było bardzo dużo ciekawych sprzętów. Kiedy dojechaliśmy do szpitala dziecięcego, to trenerka musiała załatwić mnóstwo papierologii. Po jej wypełnieniu czekaliśmy jakąś godzinę na rezonans magnetyczny, następną godzinę na wyniki i kolejną jeszcze na receptę i zalecenia lekarza. Jednym słowem panowała tam straszna nuda. Ja przysypiałem, bo to było po dwudziestej drugiej, a trenerka się bardzo denerwowała.

Zalecenie lekarza było następujące: broń Boże, nie mogę występować na zawodach, a do tego po powrocie do Warszawy mam udać się na specjalistyczne badania. Do tego miałem też nosić przez cały czas kołnierz ortopedyczny. Po tym wszystkim trenerka wezwała taksówkę i wróciliśmy do hotelu. Wróciliśmy po północy. Ogółem uważam, że ten szpital i jego praca była bardzo źle zorganizowana, bo to, co można było zrobić w 45 minut, zrobiono w 3 godziny. Następne dwa dni byłem zdany na siedzenie na trybunach i patrzenie, jak moi przyjaciele konkurują. Nie mogłem nawet wejść do wody!

Po powrocie do Warszawy miałem jeszcze dużo badań. Pan doktor powiedział, że nie będę mógł trenować przez najbliższe 3 miesiące. Te trzy miesiące bez jakiegokolwiek sportu były nie do zniesienia.

Dlatego bardzo się cieszę, że wróciłem do pływania, do skoków i do społeczności, którą tak lubię.

Serdecznie zapraszam wszystkich czytających ten tekst do rzucenia wszystkiego, co robią, i przespacerowania się lub wykonania jakiegokolwiek aktywności fizycznej, bo ruch to zdrowie. Jeżeli czytającym ten tekst jest dziecko lub młodzież (od 6. do 21. roku życia), to z kolei Ciebie, Drogi Czytelniku, serdecznie zapraszam do wstąpienia do Pałacu Młodzieży w Warszawie, bo tam jest mnóstwo sportów i aktywności dla takich jak ty czy ja, i jest to ciekawie prowadzone.

Na zakończenie napiszę:

*Ruch to zdrowie,
Każdy to powie!*

Michał Kiciński

Kiedy zdobywasz swój Mount Everest...

– No i co z tego? – krzyknąłem i wybiegłem z sali gimnastycznej. Kto wymyślił ten durny „wuef”? Męczyć się, pocić, dyszeć i jeszcze czuć się z tego powodu szczęśliwym?! Nikt nie lubi być -zmęczony i spocony, a już na pewno nie ja!

Ze złości rzuciłem strój sportowy na podłogę w szatni. Założyłem swoje ubranie i dopiero wtedy ochłonałem.

No cóż, nie biegam z gracją i szybkością geparda. Wygląda to raczej jak nauka chodzenia nowo narodzonego słonia. Grać w piłkę też nie lubię. Czytałem kiedyś, że takie uderzenie piłką w głowę może się skończyć wstrząsem mózgu. Jeszcze by mi tego brakowało! A skoki? Czemu na siłę walczyć z grawitacją? Poza tym mam tylko dwie nogi i obydwie są mi potrzebne.

Szkoda mi tylko Pana Tomka, naszego „wuefisty”, bo jest w porządku i trochę głupio, że tak na niego naskoczyłem.

Ok, więc nie lubię sportu, ale czy coś w tym złego? Mam bardzo dużo innych zainteresowań, które

nie grożą urazem i nie powodują takiego tętna, jakbym miał za chwilę dostać zawału.

Do końca lekcji byłem raczej ponury. Nie pocieszał mnie nawet fakt, że to ostatni dzień przed feriami, choć reszta klasy była tym już bardzo podekscytowana.

Humor poprawił mi się dopiero, kiedy wybiegliśmy ze szkoły i okazało się, że padający od rana śnieg utworzył na wszystkim grubą, puchową kołderkę. W drodze do autobusu rozpętała się między nami całkiem ostra bitwa na śnieżki.

Wieczorem przy kolacji rodzice oświadczyli, że mają dla nas niespodziankę.

– Zarezerwowaliśmy kilkudniowy pobyt w górach – powiedziała uradowana mama. – Wyjeżdżamy w poniedziałek.

– Hura! – wykrzyknęliśmy z bratem.

W górach byłem ostatnio jako malec, ale zapamiętałem świetną zabawę podczas zjazdów na sankach i smak gorącej czekolady w góralskiej chacie.

Było jeszcze ciemno, kiedy ruszyliśmy spod domu, ale zupełnie nie czuliśmy się z bratem senni, jak wtedy gdy mama budzi nas do szkoły.

Po południu, gdy dotarliśmy na miejsce, poszliśmy na tak zwane rozpoznanie terenu, czyli sprawdzić, co i gdzie się znajduje, a wieczorem mama (znana z tego, że musi mieć wszystko zaplanowane) zaczęła ustalać plan naszego pobytu.

– Jutro wchodzimy na Gubałówkę – wyczytała punkt pierwszy, jakby mówiła, co będzie na obiad.

– Co? – zerwałem się na równe nogi. Nie wiem czemu, ale z wyjazdem w góry zupełnie nie kojarzyło mi się wchodzeniem na nie. Traktowałem je raczej jak element krajobrazu, a nie cel wycieczki. Owszem, spacer, widoki, sanki i relaks, ale nie żadne ekstremalne przygody.

– Ja nigdzie nie idę! To jest niebezpieczne, męczące i w ogóle nie mam na to ochoty.

– No co ty, Michał – wtrącił się tata – przecież Gubałówka to nie Mount Everest.

– Dasz radę – mrugnął porozumiewawczo do mamy. To mrugnięcie spowodowało, że poczułem się jeszcze bardziej zaniepokojony tym pomysłem.

– Być w górach i nie wejść na górę to tak jak być w Rzymie i nie zobaczyć papieża – nie odpuszczał tata.

Z rezygnacją opuściłem ręce i poszedłem się położyć.

Dzień był naprawdę piękny i to trochę poprawiło mi humor, ale nie na długo...

Już po zaledwie stu metrach zaczął się mój koszmar. Świejące słońce topiło śnieg, a to z kolei spowodowało, że na wytyczonej ścieżce pojawiło się błoto. Musieliśmy iść obok szlaku, a w dodatku robiło się coraz stromiej.

Kiedy dotarliśmy do pierwszego miejsca odpoczynku, byłem bliski płaczu, a mojego niezadowolenia nie rekompensowały nawet widoki, którymi wszyscy się tak zachwycali.

Z trudem zmusili mnie, żebym ruszył dalej.

Na drugim postoju zacząłem już błagać mamę, żebyśmy wracali.

– Już połowa drogi za nami – zapewniała – teraz będzie znacznie łatwiej.

Nigdy nie podejrzewałem mamy, że potrafi tak doskonale kłamać. Owszem, była to już połowa drogi, ale to, co czekało mnie dalej, przeszło moje najgorsze wyobrażenia o trudnościach wspinaczki górskiej.

Ślisko i stromo...

Nagle zobaczyłem coś, co przyprawiło mnie o rozpacz.

Obok nas przejechała kolejka górską, a w niej uśmiechnięci, zadowoleni ludzie. Patrzyłem z otwartymi ustami, jakbym zobaczył statek kosmiczny.

– Tu jeździ kolejka!? Serio!? – popatrzyłem z wyrzutem na tatę.

– Misiek (tata mówił tak do mnie, kiedy chciał mnie udobruchać), przecież chodzi o to, żeby wejść samodzielnie, dopiero wtedy jest satysfakcja z wycieczki w góry.

– Zobaczysz, gdy znajdziemy się na szczycie.

– Jak dożyję! – krzyknąłem, mając wrażenie, że współczucie okazali mi tylko pasażerowie kolejki.

Moja frustracja osiągnęła zenitu. Drażnił mnie młodszy brat, który już był prawie na szczycie, drażnili mnie wszyscy wyprzedzający mnie ludzie. Nawet starsza pani z kijkami! Czułem, że los jest przeciwko mnie i w dodatku ma przy tym niezły ubaw.

Dostało się bratu, rodzicom, a nawet Matce Naturze.

Wreszcie ujrzałem cel swojej męczarni.

– Zaraz usiądę – pomyślałem i to dodało mi sił.

– Wszedłem! Wszedłem! – powtarzałem jak w transie. I nagle uświadomiłem sobie, że wcale nie czuję złości, ale...satysfakcję!

Spocony, potwornie zmęczony, zdyszany i... szczęśliwy!

Wieczorem, popijając z kubka gorącą czekoladę, pomyślałem, że tata nie miał racji. Ja dziś zdobyłem mój „Mount Everest”. W jednym się jednak muszę z nim zgodzić: Kiedy osiągasz cel własnym wysiłkiem, to satysfakcja jest ogromna.

Wiktor Lipa

Czy można stracić marzenia?

28 października 2021 r. znowu obudził mnie sygnał telefonu. A miałem taki piękny sen... Śniło mi się, że gram w piłkę: na boisku tylko ja i Luka Modrić. Byliśmy w jednej drużynie. Po otrzymaniu piłki miałem już prawie oddać strzał na bramkę i... Akurat w tym momencie musiał zadzwonić budzik. Byłem niepocieszony. Niestety, nie było lekko, trzeba było wstawać i zacząć codzienne rytuały: poranna toaleta, kilka ćwiczeń, potem śniadanie, pożegnanie z mamą i przed godziną 7.30 wyszedłem z domu.

W szkole dzień jak co dzień – nawet szybko zleciał. Nauczyciele nie pytali, nie było kartkówek, a większość swojej lekcji nasza wychowawczyni przeznaczyła na próby, ponieważ od dwóch tygodni przygotowywaliśmy przedstawienie na Święto Niepodległości. Podczas próby myślami byłem jednak gdzieś indziej. Nie mogłem się skupić. Cały czas rozmyślałem o treningu, który miał się zacząć o 18.00. Był to ważny trening, ponieważ zbliżał się jesienny turniej piłkarski. W zawodach miało wziąć udział 16 zespołów, w tym drużyna z Bukowna, Klucz i Olkusza. Właśnie ich najbardziej się obawialiśmy, chociaż we wcześniejszych

zawodach to my byliśmy górą. Nasz klub – Prądnik Sułoszowa – ma dobrych zawodników. Udało nam się zgromadzić na koncie wiele wygranych. Osiągnęliśmy to dzięki ciężkiej pracy oraz trenerowi. Podczas każdego meczu dajemy z siebie 100 procent. Wydawało się więc, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki.

Po lekcjach, zamiast wrócić do domu, postanowiłem pójść z kolegami na szkolny plac zabaw – tak na jedną chwilkę. Miała to być niewinna zabawa. Niestety, przerodziła się ona w horror z najstraszniejszych koszmarów. Kiedy próbowałem wskoczyć na kręcącą się karuzelę, zderzyliśmy się z kolegą głowami. Poczułem straszny ból w okolicach prawego ucha. Bardzo się przestraszyłem, bo zakreśliło mi się w głowie.

– Nic ci nie jest? – zawołał Damian.

– Nie, nic... A tobie? – zapytałem i nie czekając na odpowiedź, podniosłem plecak. Obolały i pełen obaw poszedłem do domu. Zastałem tylko dziadka. Oczywiście nic mu nie powiedziałem, ale on, zaniepokojony moją małomównością, zaczął mnie wypytywać:

– Wiktor! Co się stało, dlaczego płaczesz?

– Nie płaczę... – powiedziałem bez przekonania.

– Dziecko! Przecież widzę – nie dał się zbyć. Nie miałem wyjścia. Powiedziałem o silnym bólu w okolicy ucha, ale przyczyny już nie podałem. Około szesnastej mama wróciła z pracy. Dziadek przyprowadził ją do mojego pokoju, a ona natychmiast zabrała mnie do laryngologa. Po drodze dopytywała:

– Wiktor, jak to się stało?

– Nie pamiętam, ale chyba Damian wyskoczył zza drzewa i wpadliśmy na siebie – próbowałem zamknąć temat.

Nie powiedziałem jej całej prawdy. Mama widocznie jednak poczuła niedosyt, bo zadzwoniła do wycho-

wawczyni, a ta zrobiła krótkie śledztwo i wszystko się wydało. Najgorsze było to, że nie wolno nam było chodzić na ten plac zabaw i to w dodatku bez żadnej opieki. O dziwo, nikt mnie jednak za to nie okrzyczał. I pani, i mama zachowały pełen spokój. Martwiły się tylko, że-
bym wyszedł z tego bez żadnego uszczerbku na zdrowiu. Ich nadzieje jednak szybko rozwił pan doktor:

– Niestety, masz pękniętą błonę bębenkową i uszkodzony słuch, ale nie jest najgorzej. Myślę, że za jakiś czas wszystko wróci do normy! – stwierdził fachowo.

– To niemożliwe! – zawołała mama.

– Wdrożymy antybiotykoterapię i odpoczynek. – Na razie to tyle! – dodał pan doktor na do widzenia.

Kolejnego dnia poczułem się jeszcze gorzej. Miałem zawroty głowy, pojawiła się temperatura i kilka razy zwymiotowałem. Wtedy mama przestraszyła się nie na żarty. Przyjrzała mi się uważnie i stwierdziła:

– Masz rozszerzone źrenice! Obawiam się wstrząśnienia mózgu! – dodała łamiącym się głosem.

Po południu razem z tatą zabrali mnie do pobliskiego szpitala. Pobyt na SORze zajął kilka godzin, ale lekarz ponownie stwierdził, iż praktycznie nic wielkiego mi nie dolega:

– Jest pani przewrażliwiona! Nie ma potrzeby wykonywania prześwietlenia – oświadczył i po chwili dodał: – Dzieciom w tym wieku nie zaleca się wykonywania tomografu!

Po powrocie do domu odświeżyłem się i poszedłem spać. Byłem pewien, że następnego dnia mój koszmar się skończy, a ból minie.

– Przecież nic się nie stało! To tylko głowa kolegi – jest twarda, ale nie ze stali. Damianowi nic nie jest, to i mnie jakoś minie. Wyśpię się i będzie dobrze! – przekonywałem sam siebie.

Rano okazało się jednak, że wcale nie jest dobrze i nic nie minęło, bo mama zauważyła, że mam wyciek z ucha, które nadal bardzo bolało.

– Nie idę do pracy! Jedziemy do innego laryngologa! – powiedziała stanowczo.

I pojechaliśmy. Nowa pani doktor potwierdziła pęknięcie błony bębenkowej:

– Proszę kontynuować antybiotyk, a w razie silnego bólu lub nasilonego wycieku z ucha udać się do szpitala na tomograf.

Nie mogłem w to wszystko uwierzyć: jak zderzenie głowami mogło doprowadzić do takiego urazu? Nie potrafiłem znaleźć właściwej odpowiedzi. Damian też nie mógł. Pisał do mnie i przepraszał, pytał, co słyszeć i jak się czuję. Następnego dnia było jeszcze gorzej: wykrzywiło mi buzię i opadła powieka. Wyglądałem strasznie! Nie poznawałem się w lustrze.

– O Boże! Nie martw się, będzie dobrze! Jedziemy! – zawołała mama, która i tym razem zareagowała błyskawicznie.

Jej stanowczy ton dodał mi otuchy. Chciałem i wierzyłem jej, że to prawda: „Będzie dobrze, bo..., bo musi!”. Pojechaliśmy do Prokocimia. Pani doktor od razu zdiagnozowała:

– Porażenie nerwu twarzowego... – i wysłała na tomograf.

Po otrzymaniu wyników moje życie po raz kolejny się zawaliło, a marzenia leżały w gruzach. Tomograf wykazał złamanie dwóch kości czaszki i twarzoczaszki, wystąpienie małego krwiaka oraz pęknięcie błony bębenkowej. Do tego wszystkiego dostałem jeszcze porażenia nerwu twarzowego, więc zlecono mi konsultację neurologiczną.

– No, kolego! Masz wolne od szkoły. Zostajesz u nas w szpitalu, ale nie martw się, jesteś w dobrych rękach! I... tu nie ma karuzeli – powiedział doktor na pożegnanie, uśmiechnął się, mrugnął do mnie i poszedł.

No i zostałem. Wysłano mnie na oddział neurochirurgiczny. Nadal byłem przerażony, moi rodzice też, chociaż teraz nie dawali tego po sobie poznać i bardzo mnie pocieszali:

– Trzymaj się, chłopie – powiedział tata, ponieważ przez pandemię musiał wyjść ze szpitala.

Zostałem tylko z mamą. Podano mi kroplówkę i dostałem zastrzyki, które nie były tak straszne, jak się wydawało. Zmęczony praktycznie natychmiast zasnąłem. Kiedy się obudziłem, jeszcze nim otworzyłem oczy, poczułem, że ktoś mi się przygląda. I rzeczywiście, obok mojego łóżka stał jakiś chłopak, tak na oko młodszy ze trzy lata.

– Co tu robisz? – spytałem zdziwiony.

– Jak widzisz, stoję... Przyszedłem w odwiedziny – odparł niezrażony.

– Do mnie? Przecież cię nie znam!

– A... zapomniałem. Bartek jestem – przedstawił się.

– To jak mój starszy brat. Witaj, jestem Wiktor! – ucieszyłem się i podałem mu rękę.

Jego uścisk nie był zbyt mocny, a nawet można powiedzieć, że zimna dłoń Bartka ledwie musnęła moją. Pomyślałem wtedy: „O... to jak dotyk anioła!”, ale sam przestraszyłem się swoich myśli, więc zapytałem tylko:

– Jesteś z tego oddziału?

– Nie, z onkologii – odpowiedział Bartek i nagle wyszedł.

Od tej pory pojawiał się kilka razy dziennie. Przychodził, bo ja nie mogłem iść do niego. Opowiedział

mi też o swojej chorobie, a ja przyznałem się, co mnie się przytrafiło. Mówilem o meczach i o piłce nożnej. W końcu wyjawilem, jakie mam marzenia. Wyraziłem swoje obawy, że teraz bezpowrotnie utracilem szansę na ich realizację. Bartek nic nie mówił na temat swoich pasji i nie chciał się przyznać, o czym marzy – bał się zapeszyć. Ostatniego dnia, na pożegnanie, przytulił się mocno i szepnął:

– Marzę, żeby być zdrowym, żeby wreszcie stąd wyjść! A ty walcz, tobie się uda!

Gdy wychodziłem, łzy ciekły mi po policzkach. Nie przyznałem się jednak mamie z jakiego powodu. Kiedy naciskała, odrzekłem w końcu bez przekonania:

– To z radości... – i popatrzyłem w stronę szpitalnego okna, gdzie była onkologia.

W szpitalu spędziłem kilka dni. Na szczęście obyło się bez operacji.

– Kości muszą zrosnąć się same, a krwiak ma się wchłonąć – powiedział lekarz. – Tylko pamiętaj: żadnych szaleństw, żadnych karuzeli! – dodał.

Czekała mnie długa rehabilitacja, więc pomyślałem, że to naprawdę koniec! Tylko dlaczego?

– Ja: wysportowany, grający w piłkę, lubiący pływać i jeździć na rowerze, muszę to wszystko odstawić na boczny tor? – pytałem sam siebie i nie mogłem się z tym pogodzić.

Niestety, takie były zalecenia – na razie takie! To „na razie” to był koszmar.

Stwierdziłem, że takie życie to nie dla mnie: w piłkę gram od sześciu lat, od dzieciństwa interesowałem się sportem. Autorytetem dla mnie zawsze byli: mój starszy brat i dziadek. To oni zarazili mnie tą pasją, kibicując mi oraz motywując:

– Dobrze jest, ale stać cię na więcej!

Bartek osiągnął sporo sukcesów. Jego drużyna jest wysoko w tabeli i praktycznie nie schodzi z podium. W 2018 r. zdobyli mistrzostwo klasy A, weszli do „okręgówki” i tak już zostało. Mój brat jest dobrym piłkarzem, miał nawet kilka propozycji, ale został wierny swojemu klubowi.

Kiedy zdarzył się wypadek, przygotowywałem się do jesienno- zimowego turnieju, który miał się odbyć w połowie listopada. Musiałem jednak na dłuższą „chwilę” o tym zapomnieć. O basenie, niestety, też nie było mowy. Co gorsza, nie mogłem wykonywać żadnych gwałtownych ruchów i miałem zakaz uprawiania sportu. Przez miesiąc zorganizowano dla mnie lekcje w trybie zdalnym, więc praktycznie się nie ruszałem. Zauważyłem też, że po prostu robię się gruby. Nie podobało mi się to. Przez cały ten czas byłem pogrążony w totalnym smutku. Wtedy często myślałem o Bartku ze szpitala na Prokocimiu.

W połowie listopada otrzymałem wiadomość od trenera i kolegów, iż zawody w tym sezonie były bardzo udane. Zajęliśmy drugie miejsce, przegrywając zaledwie jeden mecz. W finale lepsza okazała się tylko drużyna z Bukowna. Pogratulowałem kolegom, choć było mi przykro, że nie mogłem uczestniczyć – nawet jako kibic. Oczywiście, cały czas mocno trzymałem kciuki. Warto było! Trener nagrał dla mnie krótki filmik i widziałem kilka bramek. Były naprawdę świetne!

Do szkoły wróciłem akurat na św. Mikołaja, czyli 6 grudnia 2021 r.

– Wiktor, Wiktor! – chociaż się bałem, klasa przyjęła mnie bardzo entuzjastycznie. Przez ten cały czas tęskniłem za nimi, a oni za mną. Ucieszyłem się na ich widok. Mimo iż wróciłem do szkoły, nadal musiałem na siebie uważać i nie mogłem ćwiczyć.

Teraz już jest lepiej. Wszystko to zawdzięczam lekarzom i rodzicom. To dzięki nim na mojej twarzy praktycznie nie ma śladu porażenia, bardzo szybko zareagowali, wierzyli, że będzie dobrze. Moje zdrowie powoli wraca do normy i zaczynam treningi. Muszę nadrobić stracony czas. Cieszę się, że wróciłem do pełnej sprawności sprzed wypadku. Niestety, z uwagi na problemy z uchem nie mogę jeszcze wznowić pływania. I pomyśleć: taki niewinny „kręciołek” powodem nieszczęścia – mógł pogrzebać wszystkie moje marzenia. Zawsze wydawało mi się, że bardziej ekstremalne są atrakcje w Energylandii. Byliśmy tam tuż przed wypadkiem. Bawiliśmy się „na całego” i nic się nie stało. A tu? Szkoda gadać!

Po tym wypadku jestem pod wrażeniem niepełnosprawnych sportowców. Zawsze ich podziwiałem, ale teraz sam wiem, ile pracy, ile samozaparcia i wysiłku kosztuje najdrobniejszy sukces. Mimo swoich niepełnosprawności nie poddają się, walczą do końca. Zdarza się, iż paraolimpijczycy przywożą z igrzysk więcej medali niż ich sprawni koledzy. W czasie choroby wiele o nich myślałem i powtarzałem sobie :

– Wiktor, dasz radę! Oni mają o wiele gorzej, trudniej. Nie poddawaj się!

Przypomniałem też sobie słowa Bartka ze szpitala: „Tobie się uda!”. Zrozumiałem, że mimo wszystko moje marzenia są bardziej realne. No i się nie poddałem, z czego jestem bardzo dumny. Zacząłem walczyć nie tylko dla siebie, ale i dla tych, którzy we mnie wierzyli: dla mamy i taty, dla dziadka, dla brata, dla Bartka chorego na nowotwór i dla mojej pani wychowawczyni, która bardzo mi kibicuje. I chyba się udało...

Nadal uwielbiam grać w piłkę, lubię oglądać mecze w telewizji i na stadionie. Jeżdżę na mecze Prądnika

Sułoszowa, a także na rozgrywki Wisły Kraków. Od zawsze kibicuję hiszpańskiej drużynie Real Madryt. Moim marzeniem jest pojechać do Hiszpanii na mecz Real Madryt – FC Barcelona i zasiąść na stadionie Estadio Santiago Bernabéu. Chcę także osiągnąć swój cel i dostać się do profesjonalnej drużyny. Wiem, że mogę to osiągnąć. Jestem zdrowy, więc mogę...! Dam radę! W szpitalu miałem bardzo dużo czasu, aby to przemyśleć.

– Dobrze jest, ale stać mnie na więcej! – myślę tak jak brat i dziadek. Myślę i idę dalej: niech to moje przeżycie, mój wypadek, który wydarzył się z głupoty i „na własne życzenie”, będzie przestrogą dla innych. Nie ma zdrowia, nie ma marzeń! Na szczęście... mnie się udało. Dostałem drugą szansę i mam zamiar ją wykorzystać, dam z siebie wszystko. Przyrzekłem to sobie, gdy leżąc na szpitalnym łóżku, pisałem wiersz na konkurs PKOl „Co lubię? Sport lubię”.

Czy można stracić marzenia? Można, ale trzeba walczyć, by je odzyskać! Ja nigdy się nie poddaję i nadal będę walczył: o marzenia i ich realizację.

Marianna Paplińska

Haniebny fortel

Było ciepłe popołudnie, słońce łagodnie muskało dachy bloków, gdy wracałem z parku. Bawiłem się z kolegami, chodziliśmy po drzewach i goniiliśmy po uliczkach.

– Tomku, obiad! – zawołała mama z balkonu.

Doszedłem więc do budynku, wstukałem kod i wdrapałem się na trzecie piętro. Na obiedzie tata, siedząc z nosem w gazecie, poinformował mnie:

– Synu, twój trener przyszedł do nas godzinę temu. O dziwo, nie dlatego że słabo pracujesz, lecz powiedział nam, że masz zawody za dwa tygodnie, w czwartek. Będziesz musiał powiedzieć nauczycielce, że wtedy opuścisz lekcje.

A, no tak. Zapomniałem wam powiedzieć, że trenuję siatkówkę. Mój trener ma na imię Klaudiusz. Byłem zachwycony. To będą moje pierwsze zawody klubowe!

* * *

Minął tydzień, odkąd dowiedziałem się o zawodach. Właśnie przyszedłem z treningu, na którym dowiedziałem się o przebiegu tej rywalizacji.

– Słuchajcie – zaczął pan Klaudiusz. – Jak pewnie wszyscy już wiecie, za tydzień mamy zawody. Będą

tam występowały czołowe kluby, więc musimy się bardzo postarać. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziecie. W czwartek zbieramy się przed halą o 7.30. Wyruszamy piętnaście minut później. Dojedziemy do celu około 8.15. Będzie czas na rozebranie się i zjedzenie czegoś. Piętnaście minut później zaczniemy rozgrzewkę. Pierwszy mecz odbędzie się około 9.30.

Gdy wyszliśmy z hali, dwaj chłopcy podeszli do mnie.

– Tomek, ekscytujesz się? – zapytał Julek. – Ja bardzo!

– No, a dlaczego nie miałbym? – odpowiedziałem.

* * *

Jutro! Jutro zaczynają się zawody, na które tak bardzo czekałem! Zacząłem się pakować. Wziąłem kilka batonów, strój i żel pod prysznic, jeśli nie liczyć telefonu, portfela i zgłoszeń. Mam zamiar wam opowiedzieć o tej rywalizacji jak najbardziej szczegółowo.

* * *

To dziś! Jak się cieszę! Obudziłem się około 6.30, aby zdążyć. Kiedy już się oporządziłem, wyszedłem na dwór. Słońce mocno przygrzewało, ale nie zwracałem na to uwagi. Jak dotarłem do hali, była 7.15. Zbierało się coraz więcej ludzi, samochody śmigały po parkingu jak oszalałe. Pięć minut później dotarł trener. Był całusiutki spocony, ale, nie przejmując się tym, od razu zaczął nas liczyć. Mimo że była dopiero 7.20, wszyscy już byli na miejscu.

Wpakowywanie wszystkich kłopotów do środka autokaru nie było tak proste, jak się tego spodziewałem. Wreszcie jednak usiadłem na przydzielonym mi miejscu i odetchnąłem z ulgą.

Godzinę później dotarliśmy. Kiedy wysiadłem, autokar przysłał mi budynek, ale gdy podbiegłem do Olka, ukazała mi się cała hala. Była chyba trzypiętrowa, lecz oprócz tego okalały ją dwupiętrowe, eleganckie budynki.

– Oooo... Łał – wyrwało mi się.

– No, robi wrażenie – odpowiedział Olek, równie intensywnie patrząc się na halę.

Weszliśmy do środka. Było tam elegancko, aczkolwiek skromnie. Rozebraliśmy się i dostaliśmy klucze do szafek. Gdy tylko drzwi od męskiej szatni się zamknęły, podskoczyłem do góry z radości.

– Jejku! Jak tu jest świetnie!

Szybko się przebraliśmy i przeszliśmy do łazienki. Stamtąd wychodzi się na boisko. Oniemiałem. Boisko wyglądało jak aksamitny, czerwony dywan. Nad nim wisiała siatka, zupełnie niepasująca do niego. Po prawej stronie stało podium. Te trzy rzeczy okalały drewniane trybuny i mimo że były z takiego materiału, wyglądały na nowoczesne. Wysoko ponad naszymi głowami rozciągał się baldachim, w którym zostały ukryte lampy.

Weszliśmy na trybuny. Była 9.15, więc zaczęliśmy rozgrzewkę. Potem poszliśmy pod prysznic. Wykąpałem się i wszedłem na trybuny od strony boiska, ponieważ nie mogłem znaleźć właściwej drogi. Jest! Mamy 9.30. Sędzia właśnie nas poinformował, że będą zaraz grać Riny i Klombo. Riny, o ile się nie mylę, to mieszana drużyna złożona głównie z dziewczyn. Tak, dziewczyny mogą występować w męskich konkurencjach, ale na odwrót już nie. A drużyna o nazwie Klombo to my. Nie pytajcie mnie o tę dziwną nazwę. W każdym razie poszliśmy na boisko i zaczęliśmy się dogrzewać. Przeszły Riny i gra się rozpoczęła. O dziwo, to mnie przypadł pierwszy serw. Graliśmy fair. Gdzieś w połowie

meczu wyrównaliśmy. W ostatnich sekundach gry Darek, jeden z naszych najmłodszych zawodników, zdobył punkt. Tak się tym cieszył, że jak wróciliśmy na trybuny, prawie przeskoczył barierki.

Trener najpierw nas pochwalił, a potem kazał zdać szczegółową relację z gry. Mówił głównie Julek, choć czasem się wtrącałem. Na końcu naszej wypowiedzi pan Klaudiusz oznajmił:

– Graliście świetnie i należą się wam pochwały, ale musicie uważać na słowa uznania. Chodzi zwłaszcza o ciebie, Darku. Nie ciesz się z jednego ziemniaka jak z całego pola! – zaśmiał się.

* * *

Minęły już ponad dwie godziny od naszego meczu. W tym czasie Riny wygrały z Larkami i zremisowały z Rekinami. Hej! Dlaczego drużyna o nazwie Clarksonowie wygrywała już czwarty mecz z rzędu? Chciałbym się dowiedzieć, jaką mają taktykę. Ale teraz wzywają nasz zespół, więc nie mam czasu tego sprawdzić. Pewnie i tak by mi tego nie powiedzieli.

* * *

Uf! Właśnie wróciliśmy z serii meczów. Trzy wygraliśmy i jeden przegraliśmy. Zgadnijcie, z kim? Tak, z Clarksonami. Po meczach, niewiele myśląc, poszedłem się wykąpać. Wszedłem do męskiej łazienki i zastrygłem bez ruchu.

* * *

– Te sprężynujące buty to był świetny pomysł! – mówił ktoś metr ode mnie, myśląc że nikt nie słyszy.

Zauważyłem, że to członkowie Clarksonów, ponieważ mają charakterystyczne naszywki na koszulkach.

Potem zastanowiłem się nad tym, co mówią, i wyteżyłem słuch.

– Dzięki temu zdobędziemy pierwszą nagrodę! – przybili sobie piątkę.

Później, jak gdyby właśnie sobie uświadomili, że są w miejscu publicznym, zaczęli się rozglądać. Szybko schowałem się za ścianę z mocno bijącym sercem. Ten, który obrócił się w moją stronę, był wysoki i miał czekoladowe włosy. Jego twarz była kanciasta, jakby kiedyś wepchnął tam sobie pudełko. Jego... przyjaciel, można tak go określić? W każdym razie ten drugi był wysokim i chudym mężczyzną o czarnych włosach przechodzących w siwiznę. Wyglądało to jakby ósmoklasista rozmawiał ze swoim ojcem.

Wyszedłem, uważając, aby nie stanąć na skrzypiące kafelki. Kiedy tylko znalazłem się poza zasięgiem ich słuchu, pobiegłem po trenera i po sędziego. Gdy tam przyszliśmy, już nikogo nie było. A byliśmy tak blisko... Zabrzęczał mi zegarek. Odruchowo sprawdziłem pamięć, okazało się, że nagrał rozmowę! Uśmiechnąłem się i puściłem dorosłym filmik. Ekran był czarny, lecz wszystkie dźwięki było bardzo dobrze słyszeć. Dwie minuty później, gdy nagranie ucichło, zapadła ponura cisza. Mężczyźni popatrzyli po sobie i zadali mi kilka pytań. Potem wyszli z łazienki, mamrocząc coś do siebie. Zadowolony również wyszedłem i pobiegłem na trybuny opowiedzieć kolegom o tajemniczej rozmowie.

* * *

Sędzia przy stoliku z nagrodami miał posępną minę, aczkolwiek nie mówił innym o zdemaskowaniu podstępów. Właśnie szliśmy na dekorację, kiedy trener do mnie podszedł i zaczął ze mną rozmawiać. Zadał

mi kilka pytań dotyczących sytuacji w łazience. Potem pochwalił mnie za czujność, a w tym czasie dotarliśmy do podium.

Z mikrofonu rozległ się przeraźliwy pisk, a potem usłyszeliśmy ogłuszającą muzykę. Piętnaście sekund później operator opanował sytuację i z głośników dało się usłyszeć chrypiący głos sędziego przerywany okrzykami komentatora.

– Dzielne drużyny! – rozpoczął sędzia. – Wasze mecze były fascynujące, lecz tylko jeden zespół mógł to wygrać.

Sędzia gadał tak jeszcze dwie minuty, po których się opanował i zaczął mówić do rzeczy. Poinformował wszystkich o oszustwach Clarksonów i jak ich zdemaszkowałem. Wszyscy się na mnie gapili, a członkowie mojej drużyny klaskali.

– A więc, za uczciwość i lojalność wobec zasad Klombo zdobywa pierwsze miejsce! Drugie zgarniają Riny, a trzecie Rekiny. Niestety za nieuczciwość Clarksonowie są zdyskwalifikowani i skreśleni z listy drużyn siatkarskich na cztery miesiące.

Rozległy się ogłuszające brawa.

– Bez sensu – mruknął za mną ten sam chłopak, który dopuścił się haniebnego fortelu.

– Trzeba było grać uczciwie – uśmiechnąłem się i wskoczyłem na podium.

Maja Pawlaczyk

Jesienny liść

Znów nadeszła piękna kolorowa jesień. Mój pan ma już wiele lat i nie wychodzi ze mną na spacer. Ale radzę sobie sam, chociaż kiedyś zraniłem się w nogę i do tej pory nie jest całkiem sprawna.

Pewnego dnia pobiegłem do parku, aby pobawić się w ulubioną zabawę. Czekałem na podmuch wiatru. Pewnie zastanawiacie się dlaczego. Uwielbiam bawić się spadającymi liśćmi. Nagle liść zerwał się z gałązki, biegłem za nim niezgrabnie przez cały park. Spadł na nogi małego chłopczyka, zastanawiałem się, czemu nie wstaje i nie pobawi się jak inne dzieci w parku. Patrząc na mnie i na liść, który goniłem, odezwał się po chwili:

– Co, piesku, nawet ty się na mnie dziwnie patrzysz... Masz swój listek i leć się bawić, korzystaj, póki możesz.

Nie zrozumiałem. O czym on mówił? Wróciłem do zabawy, ale nie umiałem się skupić, ciągle myślałem o tym, co ten chłopczyk mi powiedział. Spojrzałem na niego, żeby zobaczyć, czy dalej siedzi na tym dziwnym fotelu z kołami. Stwierdziłem, że pójdę już do domu, żeby mój pan się nie martwił.

Nadeszła noc, leżałem na moim przytulnym, ciepłym legowisku i nie potrafiłem zasnąć. Myśla-

łem o chłopczyku i o słowach, które padły z jego ust: „Nawet ty się na mnie dziwnie patrzysz”... „Korzystaj, póki możesz”. W końcu zasnąłem.

Nastał słoneczny poranek, zjadłem śniadanie i znów wybiegłem z małego drewnianego domku do pobliskiego parku. Bawiąc się, dostrzegłem tego chłopczyka na fotelu z dwoma kółkami. Stwierdziłem, że podejdę. Popatrzyłem na niego, a on spojrzał na moją obrożę i powiedział:

– No witaj... Bary. Widzę, że też lubisz ten park.

Szczęśliwy, machając ogonem, zaszczekałem dwa razy.

– Może pobawimy się razem? – spytał. – A, zapomniałem, mam na imię Jaś.

Ucieszyłem się bardzo, pobiegłem, myśląc, że Jaś biegnie za mną, ale zawołał mnie i powiedział, że on nie może bo... i nie dokończył. Na trawie leżał zapomniany przez kogoś dysk, więc porzucaliśmy sobie. Po jakimś czasie Jaś musiał jechać do domu. Przed wyjazdem szepnął do mnie:

– Widzimy się jutro. Pa, pa, Bary.

Wróciłem do domu i zobaczyłem, że mój kochany właściciel bardzo źle się czuje, wskoczyłem do niego pod kołdrę i zasnąłszy.

Mijały dni, tygodnie, ja i mój nowy przyjaciel ciągle się spotykaliśmy w naszym ulubionym parku. Pewnego dnia chłopca nie było, dziwiłem się, ponieważ spotykaliśmy się codziennie od miesiąca, więc czekałem i czekałem, aż zrobiło się ciemno. Powoli szedłem do domu, ale idąc, zobaczyłem na boisku Jasia, jakiegoś pana i kilkoro dzieci na wózkach. Rzucali piłką. Jaś zauważył mnie i zawołał:

– Przepraszam. piesku, że nie przyszedłem do ciebie, ale zacząłem trenować koszykówkę.

Okazało się, że Jaś, przeglądając internet, zainteresował się stroną na temat zawodów sportowych dla niepełnosprawnych osób! Poczuł, że to może być coś dla niego.

– W końcu wiem, co mogę robić w życiu. Po wypadku nie mogłem się pogodzić z faktem, że może już nigdy nie będę grał w koszykówkę. A wiesz, to wszystko dzięki tobie, mały przyjacielu... Zobaczyłem, jak biegasz na chorej nóżce, jak cieszysz się życiem, jak bawisz się radośnie. Pomyślałem, że jesteś mądrzejszy ode mnie... A teraz biegnij już do domu, bo twój pan się będzie martwił, ja tu będę jeszcze ćwiczył!

Było mi trochę smutno, ale już wcześniej zrozumiałem, że Jaś ma problemy zdrowotne. Minęły trzy dni, a ja dalej nie spotkałem się z Jaśkiem, choć chodziłem go oglądać, jak bardzo ciężko ćwiczył. Prawdziwie się męczył. Rozumiałem, że to jest dla niego bardzo ważne. Minęły dwa miesiące. Jaś oznajmił mi, że pojedzie na zawody i chce mnie ze sobą zabrać.

– Bary, to ty mnie zmotywowałeś do tego, że stałem się sportowcem, dzięki tobie moje życie stało się ciekawsze.

Mój pan pozwolił mi jechać. Wokół widziałem wiele osób na fotelach z kołami. Rozpoczęły się w końcu zawody. Siedziałem koło rodziny Jasia, nagle dziewczynka, siostra mojego przyjaciela, spytała taty:

– Co to za wózki? Są inne niż ten, na którym jeździ Jaś. Tata jej odpowiedział, że zawodnicy grają na specjalnych wózkach sportowych. Lekki wózek ze skośnie ustawionymi kołami jest bardzo zwrotny, co zapewnia szybkie i dynamiczne przemieszczanie się po boisku. Małe kółka z przodu i z tyłu zabezpieczają zawodnika przed upadkiem. Zderzak z przodu chroni nogi przed uderzeniem innego wózka. Wszystkie ostre elementy

konstrukcji muszą być osłonięte ochraniaczami z gąbki lub materiału. Z zaciekawieniem słuchałem i przyglądałem się Jasiowi, miał biało-czerwony strój z numerem 9 na plecach.

W pewnej chwili mój przyjaciel złapał piłkę i rzucił celnie do kosza, wszyscy klaskali i krzyczeli. Cóż to były za emocje! Mama Jasia płakała ze szczęścia, była bardzo dumna ze swojego synka. A ja... zaszczekałem głośno z radości!

Zastanawiałem się, czemu Jaś jeszcze nie wraca, przecież koniec meczu był już dawno. W końcu się doczekałem, przyjechał, pierwszy raz widziałem go takiego szczęśliwego. Powiedział mi uśmiechnięty:

– Bary, udało się, awansowałem, trener mnie pochwalił, pojedę na kolejne zawody. Przyjął mnie do grupy!

Od tamtej chwili minęły tygodnie, miesiące, Jaś dalej ćwiczy i jeździ na zawody, a ja oczywiście z nim. Wiele dni ćwiczeń, płaczu, ale chłopiec się nie poddaje. Co prawda rzadziej się z nim spotykam, ale wiem, że to jest dla niego naprawdę ważne. Miał chwile zwątpienia, nawet chciał się poddać, ale zawsze wracał i próbował, i próbował jeszcze raz. Założył blog, gdzie wspiera niepełnosprawne osoby. W jednym z licznych wywiadów opowiedział o mnie. Rzekł ze łzami w oczach, że to ja, jego przyjaciel – kulawy piesek Bary, zmotywowałem go do trenowania i że jeżdżę z nim na każde zawody. Moja obecność sprawia, że czuje się pewnie, gdy mnie widzi na widowni. Powiedział jeszcze, że nigdy nie miał takiego przyjaciela...

Amelia Polak

Nigdy się nie poddawaj

Hejoo... Z tej strony Uno Dos Maria Vlog!
W dzisiejszym odcinku opowiem wam nieco
o...

W tej chwili z dołu dobiegł jakiś dziwny dźwięk. Marysia naburmuszona, że musiała skończyć swojego Vloga, zbiegła na dół po krętych i powykęcanych w różne strony schodach. Gdy była już na ostatnim stopniu, brat Aleksander zawołał ją, przy czym była zmuszona rozpocząć ponownie niebezpieczną gonitwę po stopniach ze spróchniałego, starego i dziwnie pożółkłego drewna.

– Hmm...? – zapytała, patrząc na niego półprzytomnym wzrokiem.

On zaczął powoli zamykać za sobą drzwi.

– Za 10 minut przy boksie Oryla – szepnął do niej.

Młodszy braciszek wybiegł na dwór, nie domykając drzwi. Dziewczyna, poirytowana ciągłą bieganiem we wszystkie strony świata, po prostu zignorowała otwarte na oścież drzwi. W jej głowie latały myśli: ktoś się wkradnie do domu... Ukradnie wszystko... Porwie cię... Gdy pomyślała o tym przez dobrych parę minut, od razu wróciła się i zamknęła drzwi na mały, złoty skobelek. Po dokładnie siedmiu minutach i trzydziestu

dziewięciu sekundach Maria stała pod boksem pięknego, muskularnie zbudowanego konia.

Oryl miał 11 lat i 7 miesięcy (dokładnie tyle ile Marysia). Jego oczy miło połyskiwały w świetle dnia. Był olśniewająco czystej maści, miał chrapy w odcieniu brudnego różu. Dla Marii Oryl był najpiękniejszym koniem, lecz dla Alka najlepszym czworonożnym kopniakiem był Wenus. Nie będę się zbytnio przykładać do opisu Wenus, ale mogę powiedzieć, że był to drobny i czarny jak smoła kuc (rasa mieszana; dla dociekliwych: hucuła i konia czystej krwi arabskiej). Maryśka nie musiała czekać długo na brata, ponieważ od pięciu minut siedział w siodlarni. Podczas gdy brat usiłował opowiedzieć siostrze, co planuje, Wenus parskął, kichał i rżał, domagając się pieśczot od swojego ulubieńca.

– Bo (*rżenie*)... Ja chciałem... (*odgłos uderzeń kopyt*). Zapytałem mamy, czy możemy pojechać sami w teren! – powiedział na tyle szybko, na ile pozwalały mu jego małe płucka.

Ona jakby na coś czekała, lecz nie wiedziała na co.

– No i co? – po kilku minutach wydusiła z siebie tylko ciche zapytanie.

– POZWOLIŁA! – krzyknął jej do ucha.

Aż się wzdrygnęła na samą myśl o tym, co muszą przeżywać teraz konie w takim hałasie wywołanym tylko przez jednego chłopczyka. Co gdyby była tutaj chmara krzyczących drugoklasistów? Zapewne byłoby to dla nich nie do zniesienia.

– No i na kim jeżdżę? – zapytała, patrząc z nadzieją na Oryła. On zaś zrobił skwaszoną minę, po czym spojrzał na tego samego konika.

– Na Orylu – odpowiedział z ucieszoną miną małego chłopczyka, który widzi prezenty w wieczór Bożego Narodzenia.

Zaczął szykować się do czyszczenia Wenus. Podszedł do skrzynki napelnionej po brzegi szczoteczkami, kopystkami i zgrzeblami. Wyjął z niej miękką szczotkę w kolorze wiosennego nieba i wszedł do boksu, dokładnie zamykając za sobą drzwiczki na zardzewiały skobel. Marysia była ucieszona, że wsiądzie na pięknego przedstawiciela rasy pinto. Konik był czyszczony dosłownie chwilę temu przez stajenną. Wybrała lekko kremowy i miły w dotyku czaprak, założyła mu siodło wraz z czaprakiem, a następnie wcisnęła mu do pyska wędzidło oliwkowe, podwójnie łamane.

– To dokąd jedziemy? Ty uprosiłeś mamę, więc ty wybierasz! – zagadnęła do Alka starsza siostra.

Poprawił jej się humor, gdy dowiedziała się, że mogą pojechać sami w teren. Teraz była już na granicy wybuchu śmiechu.

– Nie wiem, ale chyba najlepszym wyborem będzie Park Witowski.

Park Witowski to ogromny plac, na którym robotnicy mieli wybudować centrum handlowe. Maria była zdenerwowana, gdy o tym usłyszała. Na szczęście jakimś cudem nadal nie zaczęli budowy. Pokierowali konie na bezkresną równinę, którą pokrywa czerwono-żółty piach. Gdy zaczęły stępować, Alek zaproponował, żeby później pogalopować.

– Marysiu, proszę... Ja tak bardzo proszę... – błagał siostrę chłopiec. Ona jednak nie ulegała urokowi słodkich oczek brata i ciągle powtarzała to samo:

– Nie, nie, nie, nie...

Skracała przy tym wodze Orylkowi, który tylko czekał na okazję, żeby wyrwać się spod kontroli wódcz i pogalopować sobie troszkę.

– Ale właściwie dlaczego nie? – nie poddawał się drugoklasista. Oddał wodze Wenusowi, który prychnął

radośnie i nadstawił uszu. Dziewczynka wpatrywała się w rozmytą przestrzeń pola.

– Bo w takim kurzu konie się spłoszą, a my spadniemy – odpowiedziała logicznie Maria. Chłopiec użył swojej ukrytej mocy i zrobił smutną minkę, na którą nawet ona nie miała rady. – Dobrze, już dobrze. Ale tylko przez kilka chwil, zrozumiano?

Klasnęła w dłonie i popędziła konia do kłusu. Chłopiec bez namysłu zrobił to samo, lecz przed tym przyłożył dłoń do skroni i zasalutował.

– Tak jest, pani kapitan! – powiedział z radością.

Oryl pędził galopem, a za nim troszkę wolniej podążał czarny kuc. Wenus przestraszył się jaszczurki i lekko bryknął, wyrzucając na chwilę chłopca z siodła. Na szczęście w odpowiednim czasie Alek złapał się grzywy konia.

– Nic się nie stało?! – krzyknęła przestraszona nie na żarty siostra Alka.

– Nie... – powiedział chłopiec, próbując przekrzywić chwilowy wiatr.

Gdy wiatr ustał, zwolnili i stępem wracali do domu. Powoli się ściemniało, ale Marysia pomyślała i wzięła ze sobą dwie latarki oraz dodatkowe baterie. Byli już przed domem. Dziewczyna zsiadła z konia i oporządziła go. Alek zrobił to samo, tyle że dłużej musiał zdejmować siodło, bo ważyło tyle co dorosły piesek rasy shih tzu. Szybko przemknęli do pokoju i równie szybko zasnęli. Spali bardzo długo, a obudziło ich dopiero rzenie koni, które czekały na śniadanie.

Marysia wcisnęła na siebie bordowe bryczesy i biało-bordową bluzkę w plamy. Zbiegając po schodach, minęła tatę i Alka, którzy pędzili na jazdę konną. Alek miał na sobie zielone bryczesy i niebieską bluzę z napisem: „Kto dosiadł konia, ten dosiadł wiatr”.

Konie były już osiodłane, zrobiła to ich trenerka.

– Dzień dobry, urwisy! – powiedziała do rodzeństwa, a do ich taty tylko skinęła głową.

– Alek, ty dzisiaj pojedziesz na oklep, dobrze? Musisz ćwiczyć jazdę bez siodła, bo masz słabą równowagę w siodle.

– Marysiu, przyłączysz się do brata?

– Pewnie, będzie się czuł rażniej – Marysia mówiąc to, mrugnęła i wsiadła na konia z pomocą taty. Gdy tata poszedł do domu, dzieci ruszyły stępem. Stępowały przez około 10 minut, następnie ruszyły kłusem. Pani Zuzanna, bo tak nazywała się trenerka, rozłożyła zielone, czerwone i żółte drągi na ścieżce. Mieli przyjechać kłusem przez drągi na środku ujeżdżalni, a potem zmienić kierunek i na krótkiej ścianie zwolnić i stępować aż do końca krótszej ściany ujeżdżalni. Gdy już skończyli, zaczęli stępować przed galopem. Alek bał się galopować na oklep, ale pani Zuzanna powiedziała, że jeśli nie spróbuje, to się nie dowie, czy potrafi.

Alek ufał pani Zuzi, dlatego się zgodził, choć niechętnie.

– Dobrze, a więc w narożniku ruszamy wolnym galopem. Ale wolnym!

Instruktorza wzięła do ręki telefon i odpisała na esemes, który dostała przed chwilą. Marysia dała Orylowi znak, żeby zaczął galopować. Koń niechętnie się zgodził, lecz przed tym lekko bryknął. Alek ledwo utrzymywał pionową postawę ciała i co chwila chwiało się na koniu. Marysi nawet dobrze szło. Galopowała bez żadnych niedociągnięć i bryknięć.

– Dobrze, ale skoki będą już z siodłem, bo mi pospadacie – powiedziała uśmiechnięta pani Zuzanna.

Podeszła do stojącego nieopodal stojaka na siodła i zdjęła siodło Wenusa. Kazała Alkowi przesunąć

się do tyłu i gdy trenerka zakładała siodło na konia, chłopiec siedział na zadzie swego wierzchowca. Maria robiła to samo. Gdy już konie były ogarnięte, przyszedł czas na przeszkody. Kobieta rozstawiała małą przeszkodę w kształcie krzyża. Konie ruszyły galopem i w mgnieniu oka przeskoczyły przeszkodę trzy razy. Zuzia podeszła do przeszkody. Podwyższyła ją. Dzieci miały teraz skakać przez jeszcze wyższą przeszkodę – krzyżak.

– Teraz chwilkę stępa. Muszę pójść po więcej drągów – następnie podeszła do bramki, otworzyła ją i za chwilę znów była w ujeżdżalni. Położyła na stojaku poziomo drąg i odeszła. Marysia spojrzała z obawą na zielony drąg ustawiony jako przeszkoda do skoku. Złapała się grzywy, ponieważ miała lekką tremę. Zawsze gdy skakała, robiła to w samotności, a teraz byli jeszcze jej brat i pani Zuzia. Nie mogła się skupić na utrzymaniu konia w równym tempie, przy czym Oryl galopował nierówno. Ledwo zbliżyła się do przeszkody, od razu zapomniała dać mu znak do skoku. Konik zatrzymał się przed przeszkodą, a dziewczyna wbiła gniewny wzrok w drązek.

Sprawy z jej braciszkiem miały się dużo lepiej. Uśmiechał się z satysfakcją do instruktorki, a swojego pupila klepał czule.

Nastolatka ściągnęła wodze i wcisnęła pięty w boki Oryla. Koń raptownie zagalopował i wyrzucił Marię z siodła. Złapała się grzywy i pociągnęła mocniej za pysk wierzchowca. Oryl dostał szału. Rzucił się na wszystkie strony i za nic w świecie nie chciał się uspokoić. Pani Zuzanna podbiegła, lecz było już za późno. Koń podniósł do góry przednie kopyta i zarżał przeciągle. Marysia usłyszała rozpaczliwy krzyk bezradnego brata i poczuła przeraźliwy ból w klatce piersiowej.

To wszystko działo się za szybko. Dziewczyna wpadła w błogą nicość. Widziała ciemność. Nie czuła nic. Nic się dla niej nie liczyło, oprócz jednej rzeczy. Chciała tylko wiedzieć, co się stało, że spadła z konia. Gdy się obudziła, ujrzała rozmyty obraz pielęgniarki rozmawiającej z doktorem. Do jej ciała była poprzyczepiana masa małych kabelków, a na klatce piersiowej miała biały bandaż. Uważnie przyjrzała się doktorowi. Dosłownie wpiła się w niego wzrokiem.

– Doktorze Billy, pacjentka się obudziła – pielęgniarka przy tych słowach podała nastolatce szklankę wypełnioną do połowy wodą. Przedtem na jej oczach wyspała do wody jakiś podejrzenie wyglądający proszek.

– To pomoże ci uporać się z ranami – gdy kobieta wypowiedziała te słowa, dziewczynkę przeszył straszliwy ból. Szybko wypiła gorzki napój i od razu poczuła się lepiej.

Doktor Billy podszedł do ekranu, na którym widniały różne zapiski i obrazki. Dziewczyna przeleciała wzrokiem po ścianie pokoju, a gdy była już na ostatniej, ujrzała piękny obraz przedstawiający biegnącego w środek morza tygrysa. Lekarz wyszedł z pokoju przez drzwi w kolorze akwamaryny. Pielęgniarka poszła do stolika, na którym leżał jej telefon, włączyła go i napisała esemes. Nastolatka spojrzała na kalendarz. Był 28 lipca, czyli jej 12 urodziny. Szybko przywołała myślami wspomnienia sprzed kilku dni i odruchowo skuliła się w łóżku.

– Boli cię coś? – spytała zaniepokojona pielęgniarka i już chciała wciskać guzik alarmu, który wzywał lekarza, w tym przypadku doktora Billego, lecz wstrzymała się i popatrzyła na dziewczynę z wyczekiwaniem. Nastolatka pokręciła przecząco głową i wydobyła z sie-

bie ciche mruknięcie, które przypominało słowo „nie”. Odchrząknęła i sięgnęła ręką po szklankę wody stojącą na morskim stoliku w zielone i różowe rybki. Wypiła troszkę wody i powróciła na swoje miejsce. Pani pielęgniarka odwróciła się w jej stronę.

– Twoi znajomi chcą cię odwiedzić. Czy masz tyle siły, żeby przyjąć gości i odpowiadać na ich pytania? Pewnie będzie to bardzo wyczerpujące. Jeśli będziesz chciała, żeby sobie poszli, to musisz kliknąć ten guzik – pielęgniarka szybkim gestem ręki pokazała na guzik, w który przed chwilą prawie kliknęła.

Oczywiście Maryś na pewno go nie wciśnie, bo jakby mogła odmówić swoim znajomym? Nie mogła się doczekać, aż się zjawią. Czekala chyba 10 minut, ale nadal nikt nie wchodził przez akwamarynowe drzwi. W końcu zdobyła się na odwagę i już miała wciskać czerwony guzik, gdy usłyszała znajomy jej głos dziecięcej radości. To był jej brat Aleksander. Tak się ucieszyła, że zapomniała o bólu rwącym ją w klatce piersiowej. Drzwi otworzyły się, a do sali wleciał, jak wystrzelony z procy, mały drugoklasista. Podbiegł do łóżka szpitalnego i uściśnął mocno siostrę. Marysia o mały włos zemdłałaby z bólu, ale gdy już miała mdleć, jej tata podleciał do Alka i odciągnął go od dziewczyny.

– Cześć, kochanie! – dobiegł do niej znajomy głos z korytarza, a razem z głosem ukazała się szczupła sylwetka jej mamy. Nastolatka uśmiechnęła się mimowolnie. Malwina, bo tak nazywała się mama Marysi, podeszła do skrzypiącego łóżka i pocałowała ją w czoło.

– Jak się czujesz? Boli cię coś? Źle cię traktowali? – zasypywała ją pytaniami.

Gdy tata uporał się z Alkiem, przyłączył się do mamy, a za nim mały chłopiec. Ona zdeorientowana odpowiadała na wszystkie pytania po kolei. Patrzyła na

nich szklanym wzrokiem. Była uradowana odwiedzinami, ale nadal nie czuła się zbyt dobrze. Po raz kolejny wypila kilka łyków wody. Gdy wypila wszystko, odstawiła szklankę.

– Czuję się lepiej. Tak, troszkę boli mnie klatka piersiowa, ale nic poza tym. Doktorzy byli mili, a pielęgniarki jeszcze bardziej – odpowiadała dziewczyna zachrypniętym głosem.

Wcześniej usłyszała, że za trzy tygodnie wróci do domu i już była z tego powodu niecierpliwa. Nie mogła się doczekać powrotu. Rzuci się na łóżko i będzie spać przez dwadzieścia godzin. Popatrzyła na swoje bandaż, a jej mina wykrzywiła się w dziwny grymas.

6 TYGODNI PÓŹNIEJ

Dziewczyna wstała z lekkim bólem głowy. Nie chciała martwić rodziców, ale wiedziała, że musi im powiedzieć, że boli ją głowa. Gdy tylko podeszła do taty i zaczęła mówić, ból jakby ustał. Odeszła ze spokojem. Wyszła powoli z domu, zamykając za sobą drzwi. Od pobytu w szpitalu nie mogła zdobyć się na odwagę i zawsze omijała stajnię szerokim łukiem, ale teraz był czas, żeby to zmienić. Z niechęcią otworzyła drzwi stajni i uderzył ją silny zapach koni oraz siana. Skierowała się do boksu Wenusa. Na razie było za wcześnie, żeby odwiedzać Oryła. Otworzyła drzwi i powoli wsunęła się do boksu czarnego kuca. Pocałowała go w mokry pysk i zaczęła przebierać palcami po jego sierści. Dobrze pamiętała chwile, kiedy to Oryła tak pieściła. Ale teraz jest inaczej. I nikt inny nie mógł tego zmienić, tylko ona sama. Siedziała w boksie dwie godziny, a zdawało jej się, że dopiero tam weszła. Gdy ściemni-

ło się na tyle, że musiała po omacku szukać włącznika światła w stajni, jej mama właśnie przygotowywała się do snu. Było strasznie późno, ale rodzice darzyli córkę sporym zaufaniem, więc nie martwili się zbytnio, że nie wróciła na czas do domu. Była 23.00, gdy Maria dotarła do domu. Naciągnęła na siebie piżamę i wskoczyła pod kołdrę. Zasnęła bardzo szybko. Obudziła się o 12.00, właśnie wtedy, gdy wszyscy jedli śniadanie. W nocy zmarzła, więc teraz zziębnięta zarzuciła na siebie szlafrok w podkowsy i ruszyła po schodach na śniadanie.

– Oo! Nasza Śpiąca Królewna się w końcu obudziła?! – zaśmiał się tata, wstając od stołu i dopijając do końca kawę.

– Mamo! Tato! Postanowiłam, wracam do jazdy konnej...

**NIGDY NIE MOŻNA SIĘ PODDAWAĆ!
JEŚLI KOCHASZ TO, CO ROBISZ, MUSISZ
W SIEBIE WIERZYĆ!**

Małgorzata Siecińska

Być jak Pelé

– Kacper, spóźnisz się do szkoły! – obudził mnie głos mamy. Stała w drzwiach zaniepokojona.

– Już idę! – zawołałem, wyskakując szybko z łóżka. Nie chciałem się spóźnić, nie dzisiaj. To był wyjątkowy dzień, na który długo się przygotowywałem. Dzisiaj miała odbyć się próba sprawności fizycznej dla kandydatów ubiegających się o przyjęcie do klasy sportowej. Sprawdziłem po raz kolejny, czy mam zapakowany strój sportowy oraz zaświadczenie o braku przeciwwskazań zdrowotnych do wykonania testu.

Znałem na pamięć kolejność zadań, które będzie trzeba wykonać na specjalnie przygotowanym torze: przeskoki na skakance (dowolną techniką) w linii prostej, slalom pomiędzy pachołkami z prowadzeniem piłki nożnej, odbijanie głową piłki, strzał do bramki, obrona na bramce, przeskoki dowolne przez mini-płotki, sprint na 100 m, odbijanie piłki lewą i prawą nogą bez dotknięcia przez piłkę podłoża. O wyniku końcowym decydował czas pokonania całego toru przeszkód oraz punkty z poszczególnych konkurencji. Klasa miała być ukierunkowana na doskonalenie gry w piłkę nożną, dlatego większość konkurencji związana była z tym sportem.

Szybko wypilem szklankę soku pomarańczowego i zjadłem jakiegoś sucharka. Nie byłem głodny, gardło miałem ściśnięte. Wybiegłem z mieszkania.

– Obym się dostał! – powtarzałem w myślach.

Długo trenowałem grę w piłkę nożną. Robiłem to głównie na działce u mojego dziadka. Niestety, na dworze i pobliskim orliku nie mogłem tego robić: przed blokiem zawsze ktoś krzyczał, że deptę trawnik, albo złościł się, że wybije komuś szyby w oknach, natomiast stadion przy szkole zawsze był okupowany przez starszych chłopców, którzy nie dopuszczali mnie do swojego grona. Było to dla mnie bardzo smutne. Kochałem grać w piłkę nożną, a jednocześnie nie miałem gdzie tego robić. Dodatkowo moi rodzice – dla nich najważniejsze były lekcje: „Nauka przede wszystkim!”. Dlatego trenowałem po kryjomu. Każdego dnia, przed lekcjami albo po lekcjach, wymykałem się na ogródki działkowe, do mojego dziadka. Uwielbiałem go, on jeden rozumiał moją pasję, sam był fanem piłki nożnej. I chociaż nie znał wszystkich dzisiejszych sportowców ani ja nie kojarzyłem wymienianych przez niego nazwisk z lat jego młodości, to i tak mówiliśmy tym samym językiem, a pasja do sportu bardzo nas zbliżała.

To dziadek pierwszy raz napomknął do moich rodziców o klasie sportowej dla mnie. Najpierw rodzice nie chcieli o tym słyszeć, ale dzięki wytrwałości dziadka powoli zmieniali zdanie. Pierwszy wymiękł mój tata. Sam był aktywny fizycznie, kiedyś uczęszczał do drużyny koszykarskiej. Trudniej poszło z moją mamą, ale argumenty dziadka były nie do zbicia. Szczególnie ten o Pelém. To był jego idol z młodości lat. Młody, biedny Brazylijczyk, który uczynił brazylijską piłkę nożną sławną na całym świecie. On również nie miał gdzie ćwiczyć, razem z kolegami odbijali piłkę

po między ubogimi chałupami, biegając boso po ulicach. Ponieważ rodzina żyła w ubóstwie, Pelé dorabiał jako pucybut.

Dziadek wielokrotnie opowiadał mi o tym piłkarzu. Znałem jego historię na pamięć. Pelé, a tak naprawdę Edson Arantes do Nascimento, urodził się 23 października 1940 roku w Tres Coracoes. W jego rodzinie panowała bieda. Talent do piłki nożnej odziedziczył po swoim ojcu, Jao Ramosie do Nascimento, znanym jako Dondinho, który swego czasu był środkowym napastnikiem w lokalnym Atletico. Kariera Dondinho skończyła się po jego kontuzji kolana, od tego czasu nie mógł już uprawiać sportu.

– Kolejny kandydat: Kacper Dębowski – wywołał mnie z odrętwienia głos naszej nauczycielki od wychowania fizycznego.

Stałem w stroju sportowym przed gremium wu-fistów z naszej szkoły. Jak automat podszedłem na wskazane miejsce. Nawet nie pamiętam, jak dotarłem do szkoły, jak się przebrałem. Pamiętam natomiast, że w szatni było wielu chłopców, nie tylko z naszej szkoły. Wszyscy dzisiaj rywalizowali o miejsce w tej klasie. Wszyscy byli wysportowani, wyćwiczeni, więksi ode mnie. Wspólnie grali na stadionie, wspólnie spędzali wolny czas. Nie należałem do ich grona i wyraźnie dawali mi to teraz odczuć.

– A ten tu po co? – słyszałem złośliwe szepty.

– Gdzie on się pcha?

– I tak się nie dostanie, tylko strata czasu!

Ale tak się nie stało. Dostałem się i to z najlepszym wynikiem! Rozpierała mnie duma! Byłem przeszczęśliwy! Rodzice podchodzili do mojego sukcesu z dystansem: „Pamiętaj, najważniejsza jest nauka!”. I bali się, że przestanę się uczyć, tylko będę cały czas treno-

wać. Wiedzieli, że dzieci trzeba wspierać i rozwijać ich zdolności, a jednocześnie mieli inne priorytety. Starali się znaleźć jakąś równowagę pomiędzy moimi zainteresowaniami a tym, co według nich było ważne. Ale kiepsko im to wychodziło:

– Dajcie mu spokój! On będzie lepszy niż Lewandowski, on będzie jak Pelé! – nie wytrzymał pewnego dnia mój dziadek. W gniewie chwycił mnie za rękę i pociągnął na spacer.

– Czy wiesz, że Pelé to tylko przydomek sportowca? – przerwał w końcu milczenie. Widać było, że ten temat go uspokaja. – Otóż pewnego razu Dondinho, ojciec Pelégo, zabrał syna na trening. Chłopiec wskakiwał do bramki i wykrzykiwał pseudonim kolegi swojego ojca „Bile”. Kolega ten był bramkarzem i nazywał się Jose Lino. Mały Pelé przekonywał, że w przyszłości też chciałby być bramkarzem takim jak Bile. Mały chłopiec przekreślił jednak słowa i z „Bile” zrobił się „Pile”, a potem „Pelé”. Z czasem przydomek przylgnął do chłopca już na dobre – zakończył swój wywód dziadek.

Zaczął się dla mnie wspinały, ale wymagający okres życia. Klasa sportowa sprawiała mi radość, miałem 10 lekcji tygodniowo sportu. Jednocześnie dużo się uczyłem, aby nie podpaść mamie. Ale przede wszystkim piłka nożna na profesjonalnym boisku... To było to! Biegałem za piłką, wręcz z nią tańczyłem, jak mówił nasz trener. Byłem najniższy w drużynie, ale najlepiej strzelałem bramki główką. Potrafiłem przebiec całe boisko, nie będąc zatrzymanym przez nikogo.

– Mój trener mówi, że mam fajny i bardzo oryginalny styl – wykrzyknąłem pewnego dnia na powitanie dziadka. Każdy mały sukces, każda pochwała bardzo mnie cieszyła.

– Jak Pelé, to twoja ginga – odpowiedział dziadek i jak to on znowu pogrążył się w opowieści o stylu młodego Pelégo. – Początki gingi – tłumaczył – wzięły się z capoeiry, sztuki walki wymyślonej przez niewolników w XVIII wieku. Polegała na rytmicznych, wręcz akrobatycznych obrotach i kopnięciach. Wyróżniała się dynamizmem i taneczną płynnością. Niewiele było statycznych pozycji, dużo natomiast zamaszystych kopnięć i podcięć. Ciosy przeciwnika blokowało się bardzo rzadko, zamiast tego capoeira oferowała wiele uników i przejść. I to właśnie odziedziczył sport brazylijski. To właśnie jest ginga. To ona nadaje brazylijskiemu stylowi charakter tańca. Istotą jest tutaj płynność i dynamika, co utrudnia trafienie przez przeciwnika. Elementy gingi w połączeniu z piłką dawały ciekawe widowisko oraz niesamowitą skuteczność. Udowodnił to Pelé – kontynuował dziadek wymachując nogami, aby zobrazować styl brazylijskiej piłki.

Niestety jego wiek powodował, że zamiast tańca wyszły jakieś pokraczne ruchy, ale nic mu o tym nie powiedziałem.

– Jak Pelé miał 13 lat, czyli był niewiele starszy od ciebie, Kacperku, chłopak wyjechał z małej miejscowości do Salvadora, sprawdzić się w miejscowym klubie. Od dziecka był uczony gingi, jak większość miał ją we krwi. W klubie z Salvadora próbowali ustawić go w sztywne ramy, ale nie pozwoliło to zabić w nim instynktu i gingi. Dzięki temu z łatwością mógł rywalizować z o wiele starszymi od siebie i z łatwością ich ogrywać. Dlatego pamiętaj, Kacperku, piłkę nożną masz w sercu, graj tak, jak ono ci podpowiada – zakończył cichym głosem.

Dni upływały szybko, zżyłem się ze swoją klasą, nawet chłopcy, którzy początkowo się ze mnie wyśmie-

wali i nie dowierzali, że sobie poradzę, traktowali mnie jak równego sobie. Wspólny wysiłek, ćwiczenia oraz moje zaangażowanie zyskały ich przyjaźń. Poza tym, nie da się ukryć, byłem naprawdę dobry!

– Od dziś zaczynamy przygotowywać się do zawodów międzyszkolnych – ogłosił pewnego dnia instruktor. – Będziecie najmłodszą chyba drużyną, zatem potraktujcie to, chłopcy, jak fajną zabawę i przedsmak tego, co czeka was w następnych latach. Zdobądźcie doświadczenie, aby za rok, dwa wystartować już na całego.

Ale mimo że trener uprzedzał, aby podchodzić do zawodów spokojnie, bo będziemy grali z przeciwnikami od siebie starszymi i bardziej doświadczonymi, w nas wstąpił prawdziwy duch walki. To, że jesteśmy młodszy, nie oznacza, że nie mamy szans! Zaczęliśmy się intensywnie przygotowywać. Na treningach lał się z nas pot, ale wszyscy byliśmy szczęśliwi. Zgraliśmy się jako drużyna. I co z tego, że przeciwnik ma większe doświadczenie i jest starszy?

Dwa miesiące minęły bardzo szybko. Nastąpiło losowanie składów do meczów. Mieliśmy niestety pecha. Pierwszy mecz, jaki mieliśmy odbyć, był z reprezentacją szkoły, którą całkiem dobrze znaliśmy. Położona była niedaleko naszej i kilku zawodników znałem z widzenia. Byli to chłopcy starsi od nas o dwa lata, zżyci ze sobą, odnoszący sukcesy w poprzednich turniejach. Byliśmy bardzo zmartwieni. Dlaczego już w pierwszym meczu musieliśmy na nich trafić? Pierwszy mecz jest bardzo ważny, decyduje o morale drużyny. Z przegraną na początku ciężko będzie walczyć o sukces na końcu.

– Wiek nie przesądza o zwycięstwie – jak zawsze swoim mądrym głosem orzekł dziadek, gdy usłyszał

zwątpienie w moim głosie. – Czy wiesz, że jak Pelé pierwszy raz grał w meczu na mistrzostwach w 1958 roku przeciwko reprezentacji Związku Radzieckiego, nie miał nawet 18 lat? Dzięki temu został najmłodszym piłkarzem w historii mundialu. Stał się również najmłodszym mundialowym zdobywcą bramki, bo strzelił gola Walii. Był także najmłodszym strzelcem hat-tricka, bo strzelił 3 bramki w meczu z Francją, oraz najmłodszym piłkarzem z golem w finale. Trafił bowiem do siatki (i to dwukrotnie) w meczu o złoto przeciwko reprezentacji Szwecji. Brazylia wygrała wówczas 5 do 2 i pierwszy raz w dziejach została najlepszą drużyną globu. Tak więc potraktujcie swój wiek jako zaletę – skończył dziadek i się uśmiechnął.

I były to słowa prorocze. Następnego dnia na pierwszym naszym meczu w historii po prostu rozgromiliśmy przeciwnika. Starsi, bardziej doświadczeni, silniejsi chłopcy nie mogli nadążyć za nami. Na początku strach i trema, a później jakaś dziwna frajda dodawały nam skrzydeł. Byliśmy nie do pokonania, w ciągłym ruchu kręciliśmy się wokół piłki, prawie tańczyliśmy na boisku. Unikaliśmy kontaktu z silniejszymi napastnikami, często podawaliśmy sobie piłkę, żeby ich zmylić. Istna ginga w naszym skromnym wykonaniu. I czy uwierzycie, że... pierwszy gol, który został zdobyty w tym meczu, należał do mnie! Oddałem celny strzał główką w bramkę przeciwnika. Na stadionie rozległy się oklaski zgromadzonych kibiców – głównie rodziców. A najgłośniej klaskał i krzyczał mój dziadek! Widać było, że był bardzo wzruszony. On jeden wierzył we mnie od samego początku.

A później poszło już łatwo. Kolejną bramkę zdobył mój kolega, a później jeszcze trzy ja – znowu strzelając główką w bramkę drugiej drużyny. Tego dnia wiedzia-

łem już, że mogę wszystko, że mimo młodego wieku mogę odnieść zwycięstwo, że razem z drużyną możemy być wielcy... jak Pelé.

* * *

- Pelé jako jedyny w historii zdobył trzykrotnie tytuł mistrza świata w piłce nożnej: 1958 (Szwecja), 1962 (Chile), 1970 (Meksyk),
- był najlepszym piłkarzem wszech czasów według plebiscytu FIFA 2000 oraz France Football 1999,
- pobił rekord książki Guinnessa pod względem zdobytych bramek: 1281 w 1363 meczach,
- zdobył Złotą Piłkę dla najlepszego piłkarza MŚ w roku 1970.

Chcę iść w jego ślady! Będę jak Pelé!

Florian Wienke

Niesamowity Szwed

Czy czterolatek może marzyć o poprawieniu rekordu świata? Czy siedmiolatek może trenować skok o tyczce? Czy dwunastolatek może skoczyć niemal cztery metry? Odpowiedź na te trzy pytania brzmi: tak! Co więcej, to zasługa jednej osoby. Niemożliwe? To posłuchajcie. Oto opowieść o niezwykłym dziecku, pochodzącym ze sportowej rodziny amerykańsko-szwedzkiej, dziecku, które wyrosło na rekordzistę świata w skoku o tyczce!

* * *

Pewnego dnia Armand Duplantis, bo o nim mowa, przebywał w ogrodzie swojego domu. Jak co dzień marzył o zawodowym uprawianiu skoku o tyczce. Nagle na tarasie pojawił się jego brat, Andreas. Podbiegł do niego i zapytał:

– Zrobimy sobie minizawody?

Armand uśmiechnął się i odpowiedział:

– Oczywiście, bracie, jak chcesz być znowu pokonany, to z wielką chęcią!

– Dzisiaj nie powinienem przegrać – odpowiedział z wyższością starszy o sześć lat brat. – Ja ćwiczę dłużej od ciebie!

– Ale to ja miałem specjalnie przygotowane tyczki i to ja miałem najlepsze wyniki w historii siedmio- i dwunastolatków!

– Phi! Pogadamy, jak pobijesz rekord świata!

– Nie martw się, ten czas przyjdzie za niedługo.

W tym momencie zawołała ich mama, Szwedka Helena Hedlund, która kiedyś trenowała siedmiobój lekkoatletyczny. Rozmowa przy stole jak zwykle dotyczyła sportu, ponieważ ojciec, Amerykanin Greg Duplantis, również uprawiał skok o tyczce. Tymczasem Armand dyskretnie, tak żeby mama nie zauważyła, odsuwał na bok talerz z warzywami. Dopiero kiedyś zacznie je jeść chętniej...

Po obiedzie bracia ustalili i ustawili wysokość poprzeczki, po czym zagraли w papier-nożyce-kamień, kto zaczyna. Wypadło na młodszego brata.

Rywalizacja nie trwała długo. Po chwili, kiedy przyszła kolej Andreasa, chłopak rozpędził się z tyczką w dłoniach, oparł ją o wyznaczone miejsce, odbił się od ziemi i uniósł. Już wydawało się, że spokojnie przeskoczy, lecz otarł brzuchem o poprzeczkę. Upadł na materac, zaczął się cieszyć i w tym momencie obok niego spadła poprzeczka. Zwycięzcą okazał się Armand.

* * *

Minęło kilka lat.

Armand zdobywał kolejne trofea, puchary i medale. W lipcu 2015 roku, mając zaledwie 15 lat, zdobył tytuł mistrza świata juniorów młodszych w Kolumbii. Rok później trzykrotnie poprawił najlepszy wynik na świecie w kategorii U18 w startach halowych. W tym roku ustanowił rekord życiowy 5,51 m. Brał udział w mistrzostwach świata juniorów w Bydgoszczy w 2016 roku (ukończył je, zajmując trzecie miejsce) oraz

wygrał mistrzostwa Europy U20 w Grosseto w 2017 roku, skoczywszy 5,65 m. Ledwie rok później pobił rekord świata juniorów (5,75 m), zdobył złoty medal dla Szwecji w mistrzostwach Europy juniorów. Występując podczas lekkoatletycznych mistrzostw świata w Londynie, mierząc się z najlepszymi z całego świata, zajął dziewiąte miejsce. To tylko nieliczne z jego występów, ale pokazują konsekwentną realizację obietnicy złożonej z czasie zabawy z bratem.

Stopniowo uzyskiwał coraz lepsze wyniki. Warto odnotować start w Rzymie podczas Golden Gali w 2020 roku, kiedy Armand – nazywany już wtedy „Mondo” – osiągnął najlepszy wynik w historii światowej lekkoatletyki na stadionie (skoczył 6,15 m), a także najnowsze osiągnięcia – w czasie igrzysk olimpijskich w Tokio w 2021 roku (pierwsze miejsce z wynikiem 6,02 m) oraz na halowych mistrzostwach świata w Belgradzie w 2022 roku (pierwsze miejsce z wynikiem 6,20 m, co jest jego najnowszym pobiciem światowego rekordu).

Choć wiele momentów wartych byłoby uwiecznienia, zatrzymajmy się jednak 8 lutego 2020 roku na Copernicus Cup w Toruniu. Bo – jak sam mówi nasz bohater – „rekord świata po raz pierwszy bije się tylko raz i nawet jeśli w przyszłości poprawię go jeszcze dwukrotnie albo nawet dwudziestokrotnie, to zawsze będę pamiętał Toruń”.

Atmosfera tych zawodów była fantastyczna, publiczność dała mu dużo energii. Armand czuł w sobie moc, która mogła go przenieść wysoko ponad 6 m. Szwed po pokonaniu poprzeczki na wysokości 6,01 m postanowił zaatakować rekord świata, który wynosił 6,16 m. Pierwsza próba była nieudana, ale Duplantis był bardzo blisko.

Właśnie stanął do drugiej próby. Czy mu się uda? To pytanie zadawali sobie ludzie na trybunach i przed telewizorami. Widzimy Mondo, jak przygotowuje się i ruchami rąk zachęca publiczność do oklaskiwania. Rozległ się rytmiczny dźwięk uderzanych o siebie dłoni. Armand lubi zabawiać ludzi, bo skakanie jest dla niego radością. Tuż przed konkursem otrzymał esemes od swojego dawnego idola, Francuza Renauda Lavilleniego: „Baw się dobrze, skacz wysoko, ale nie zbyt wysoko”. Armand się uśmiechnął na to wspomnienie. Najpierw idol, potem rywal, przyjaciel, a teraz mentor. „Zawsze daje mi wskazówki, doradza. Jestem mu za to niesamowicie wdzięczny. – myślał – Zabrać rekord świata takiemu facetowi? Coś wyjątkowego”.

Mondo czuje, że wszyscy na trybunach chcą, żeby pobił ten rekord. Dobrze mu się skakało tego dnia, naprawdę wysoko, ale wcześniej nie planował jego pobicia. Postanowił zaryzykować

Wysłuchuje się w rytm klaskania, na twarzy widać skupienie i powagę. Chwyta tyczkę, układa dłoń nie w taki sposób, żeby uchwyt wytrzymał znaczne i zmienne w kierunkach obciążenia, jednocześnie umożliwiały wykonywanie ruchów w czasie skoku. Spogląda w stronę skoczni. Podnosi tyczkę i bierze rozpęd. Biegnie, wysoko unosząc nogi i utrzymując wyprostowaną sylwetkę. Umieszcza tyczkę w skipie, podciąga się i odbija się silnie nogą w górę. Wznosi się, wykorzystując jej elastyczność. W powietrzu obraca się, przerzuca nogi ponad poprzeczką, skręca tułów i mocnym odepchnięciem odrzuca tyczkę. Przeskakuje poprzeczkę przodem. Bardzo blisko. Musnął ją nawet udem i pachą. Opada na plecy z rozłożonymi rękoma wpatrzony w poprzeczkę, czy pozostała na miejscu. Świat zamiera w oczekiwaniu, po czym wybucha aplauzem.

Szał ogarnia zarówno halę, jak i samego dwudziestojednolatka. Mondo zrywa się z materaca i biegnie po płycie. Dogania go trener, ściskają przyjaciele i inni zawodnicy. Za nim podążają dziennikarze, próbując uchwycić aparatami euforię na twarzy młodego rekordzisty.

Mondo celebruje swoją radość przez krzyki, różne szalone gesty. W jego głowie i sercu dzieje się tyle rzeczy, że aż trudno to opisać. Jakby spacerował w chmurach! Ilekroć przypomni sobie ten dzień, będzie myślał: „Czy to naprawdę?”.

Nagle przeskakuje bandę i wspina się na barierki oddzielające trybuny od miejsca zawodów. Ściska i długo całuje dumną mamę. Myśli: „Braciszku, udało się!”.

6 m 17 cm! Co za wynik! Mondo Duplantis rekordzistą świata! Oto zaczęła się nowa era w skoku o tyczce! Cała hala stoi i wiwatuje! Mondo uderza się w pierś: „Udało się, udało się! Jestem najlepszy!”. Cały czas oparty o barierkę, wykonuje rytmiczne ruchy nogą i ręką – swój minitaniec zwycięstwa. Właśnie przechodzi do historii – kto by w to uwierzył?

Wraca na środek hali, dostaje od hostessy bukiet pięknych kwiatów i wznosi go do góry, jakby to był wieniec laurowy, trofeum zwycięzcy. Nie może opanować emocji, ciągle się porusza. Skupienie, które czuł przed skokiem, zniknęło. W to miejsce pojawił się entuzjazm.

Trenerzy i inni zawodnicy podnoszą go na ramionach. Następnie pozuje do zdjęć na tle swojego wyniku. I nie, nie są to poważne ujęcia, pełne dumy i równowagi. Zamiast tego euforia i spontaniczna reakcja na to, czego sam nie planował.

Po roku, pobiwszy sam siebie, powiedział dziennikarzom:

– Punktem zwrotnym w mojej karierze był mityng w Toruniu. Uprawiam dyscyplinę wymagającą przede wszystkim dużej siły psychicznej. Tego wieczoru poczułem, że wszystkie elementy układają mi się w głowie, publiczność dodawała mi pozytywnej energii, a ja skakałem jak w transie.

Z pewnością to fantastyczna chwila, która przejdzie do historii!

Co ciekawe, nie każdy wie, że zwycięstwo w Toruniu miało jeszcze ciąg dalszy. Numer startowy z tego mityngu Mondo wystawił na szwedzkiej aukcji. Użyte w ten sposób pieniądze przekazał na walkę z koronawirusem wśród osób starszych. Jak widać, można być nie tylko genialnym sportowcem, ale także wyjątkowym człowiekiem.

Maja Wróbel

Chcę być jak ona

W moim domu nie ma większych tradycji sportowych. Tata nie ogląda nawet meczy reprezentacji Polski w piłce nożnej. Chyba że przez przypadek. Podobnie mama i moja siostra – Anastazja. Nie wiem, skąd wziął się pomysł, bym to ja zmieniła niechlubne oblicze naszej rodziny w tej kwestii... Pewnie dlatego, że wiecznie potykałam się o własne nogi, wszystko leciało mi z rąk. Pomysłodawcą był dziadek, który we wczesnej młodości zapowiadał się jako całkiem niezły kolarz. Miał całkiem spore osiągnięcia, nawet na szczeblu ogólnopolskim. Niestety kontuzja, której nabawił się podczas treningu, pozbawiła go złudzeń co do dalszej kariery. Więc postanowił, że jego ukochana wnuczka Ola będzie mistrzynią. I to w jakiej dyscyplinie? Tenisie ziemnym. Ha! A co! W sumie, jak to mówią, kto bogatemu zabroni. Cała rodzina wysłuchiwała opowieści, jak to Ola będzie lepsza niż Wojciech Fibak. Zdobędzie medale, będzie sławna. Wszyscy kiwali głowami, uśmiechali się... Nikt dziadkowi nawet nie próbował wybić pomysłu z głowy. Wiadomo, jak dziadek Adam coś sobie wymyśli, nie ma mocnych i nawet tornado nie jest w stanie tego zmienić. Najbardziej zabawne było to, że NIKT, dosłownie nikt

nie zapytał mnie o zdanie. Zresztą jestem tylko dzieckiem, a podobno dzieci i ryby głosu nie mają. Cóż. Miałam tylko nadzieję, że plany dziadka spełzną na niczym. I kim jest ten cały Wojciech Fibak? Nie miałam o gościu pojęcia. Chyba nawet nie miał prawdziwego profilu na fejsie. Trochę o nim poczytałam w necie i dowiedziałam się, że jest finalistą Masters, zwycięzcą Australian Open. Terminy nic mi nie mówiły, ale jestem dzieckiem i nie muszę wiedzieć wszystkiego. Boże! Przecież ja nigdy nawet nie oglądałam meczu tenisistów. Cały czas liczyłam, że dziadek sprawę przemyśli i da mi spokój. Nadzieja okazała się płonna, bo po ostatnim spotkaniu rodzinnym przyjechał do mnie do domu i uśmiechając się szeroko, powiedział:

– Mam dla ciebie prezent! – i z pokrowca wyciągnął rakietę do tenisa. Prawdziwą! A niech to... Dziadzius postawił na swoim.

– Ale dziadku. Ja nie mam pojęcia o tenisie! Nawet nie wiem, jak trzyma się rakietę w ręku! – zaczęłam protestować.

– No to się nauczysz.

– A nie jestem za stara? Mam już dziesięć lat. Tenis zaczyna się chyba trenować wcześniej... a poza tym, to chyba drogi sport. Rodzice nie mają takich pieniędzy...

Dziadek wybuchnął śmiechem, pocałował mnie w czoło.

– Wiem, co robię, zbieraj się. Znalazłem trenera. Ubierz się w coś sportowego. Adidasy załóż, a nie baleriny! A o pieniądze się nie martw.

O Boże. A jednak. Niemrawo zaczęłam się ubierać.

Gdy byłam już w korytarzu gotowa do wyjścia, z kuchni wychyliła się babcia i gdy dziadek nie widział, puknęła się w palec w czoło. Mama uśmiechała się litościwie, tata, czyli syn dziadka, poklepał mnie

po ramieniu i nic nie powiedział. Na dobiecie pojawiła się Anastazja, jak zawsze w towarzystwie chłopaków z klasy.

– Cześć, Fibak! Jedziesz na trening? Nie połam rakiety. I nie przewróć się o nią.

Wszyscy ryknęli śmiechem.

– Fibak. Dobrze!

Ze złości zazgrzytałam zębami. A dziadek ze stoickim spokojem powiedział:

– Nie przejmuj się. Jeszcze przyjdą po twój autograf. Będą ci zazdrościć. A zwracając się do mojej siostry:

– Uważaj, żeby ci się rzęsy nie połamały od tuszu. Prawdziwa mistrzyni w nakładaniu make-upu.

Anastazja wzruszyła ramionami i obrażona pomaszerowała do swojego pokoju.

Na pewno. Już to widzę. Wojciech Fibak. W żeńskim wydaniu? Bardzo, bardzo, megaśmieszne.

Drogę na trening przejechaliśmy w milczeniu. Dziadek uśmiechał się do siebie. Pewnie widział mnie w glorii chwały. Ze złotym medalem olimpijskim. Kto go tam wie.

Pierwsze spotkanie z trenerem pamiętam jak przez mgłę. Coś tam mówił o pracy nóg, koordynacji i szybkości reakcji. Powiem szczerze, że miałam wątpliwości co do „rozwoju mojej dalszej kariery”. Zawsze miałam problemy z koordynacją. Prawa noga, lewa ręka... Dla mnie nie do przeskoczenia. Ale jak mam to wytłumaczyć dziadkowi.

– Dziadziuś, może jednak nie tenis ziemny. Ja się do tego nie nadaję... Proszę. Mogę trenować coś innego. Na przykład kolarstwo. Znasz się na tym...

Dziadek Adam spojrzał na mnie takim wzrokiem, że już nic nie powiedziałam. Trudno. Będę chodzić na

treningi i udowodnię mu, że to ja mam rację i że mnie żadnego Fibaka nie będzie. Ani Radwańskiej, ani Domachowskiej, ani nawet Kubota (trochę poczytałam o polskich tenisistach). Dziadek chce z prawdziwego beztalencia zrobić gwiazdę sportu. Zobaczymy.

Na następny trening raczej powlokłam się, a nie poszłam. Z trudem ogarniałam terminologię: *forhend*, *bekhend*, *drajw*, *wolej*. Chyba zacznę się uczyć angielskiego. Niektórych wyrazów nie byłam w stanie powtórzyć.

Z głębokiego zamyślenia wyrwał mnie głos trenera: – Dzisiaj praca nóg. Zapraszam cię na kort.

Cóż było robić. Posłusznie, zupełnie jak na ścięcie poszłam za nim. Trening zapisał się w mojej pamięci jak jeden wielki koszmar, podobnie kolejne. Myliłam ręce, nie miałam siły odbić piłki. Rakieta wypadła mi z rąk. Nie trafiałam nią w piłkę. Płakałam babci w ramię, że nie mam siły, nie chcę i nie daję rady. Dziadek nie chciał słuchać moich tłumaczeń, babcinych perswazji: „Daj jej spokój”. Nie przyjmował do wiadomości, że próbując ze mnie zrobić gwiazdę tenisa, realizuje własne niespełnione marzenia. Kochał nas wszystkich ponad życie, nawet moją wiecznie naburmuszoną siostrę. W tej sprawie pozostał nieugięty. Uśmiechał się i mówił: „Jeszcze mi za to dziękujecie. Wiem, co robię. Dziewczyna ma talent. Tylko o tym nie wie”. Naprawdę mam talent? Miałam zupełnie inne odczucia. Przecież w klasie nikt mnie nie chciał w drużynie do ringo czy zbijaka...

Kolejne treningi sprawiły, że zaczęłam panować nad koordynacją. Usłyszałam, że mam dobry *forhend* i to jest mój największy atut. Polubiłam trenera. Był naprawdę fajnym człowiekiem. Bardzo cierpliwym. Dowiedziałam się, że w dzieciństwie również trenował

tenis. I zapowiadał się na wschodzącą gwiazdę... Niestety, rodziny nie było stać na dalszy rozwój jego kariery. Kolejna zmarnowana szansa? Bo był biedny? Sportowcem nie został, ale poświęcił się pracy z młodzieżą. I robił to dobrze. Spokojny, cierpliwy. Z poczuciem humoru. Nigdy nie krzyczał. Nie krytykował. Cierpliwie i do znudzenia powtarzaliśmy te same ruchy. Ktoś inny pewnie dałby sobie spokój ze mną. A on we mnie uwierzył. Dzisiaj nie wiem, czy to jego wiara we mnie, determinacja dziadka czy przekora losu spowodowały, że zostałam jedną z najlepszych zawodniczek w mojej drużynie. Lepsza była ode mnie tylko Magda. Trochę lepsza – tak mówił dziadek.

Pewnego dnia dowiedziałam się, że jadę na zawody. Co prawda wojewódzkie, ale było to dla mnie ogromne wyróżnienie. Ale czemu nie Magda? Wysoka, szczupła, miękkie ruchy. Na korcie zachowywała się tak, jakby na nim się urodziła. A trener wybrał mnie. Okazało się potem, że Magda jest chora i jadę w jej zastępstwie. Ale to zawsze jakieś wyróżnienie. Prawda? Chociaż to tylko zastępstwo.

W dniu zawodów wstałam z bólem głowy. Było mi słabo. Miałam wrażenie, że żołądek wyskoczy mi przez gardło. Miałam coraz większe wątpliwości. Co będzie, jeżeli zawiodę trenera? Dziadka? Oni tak we mnie wierzyli. Tak bardzo chciałam, by byli ze mnie dumni.

Dzisiaj widział, co się ze mną dzieje. Zawołał mnie, mocno przytulił i powiedział:

– Oluś, nie przejmuj się tak. Raczej uwierz w siebie. Pomyśl, jaką daleką drogę przebyłaś. Jeszcze rok temu potykałaś się o własne nogi, rakieta wypadła ci sama z rąk. A dzisiaj jedziesz na zawody!

– Wszystko zawdzięczam tobie, dziadku, i trenerowi oczywiście. Ale najbardziej tobie... Kocham cię.

– To, co osiągnęłaś, zawdzięczasz tylko sobie. Swojej sile, wytrwałości. Bez względu na wynik zawodów pamiętaj – już wygrałaś.

– Znowu w życiu mi nie wyszło – usłyszałam za plecami sarkastyczny głos mojej starszej siostry. Czasem jej po prostu nienawidzę.

– Anastazja, przestań! – wtrącił się tata. – Raczej trzymaj kciuki.

– No pewnie, szczęście się przyda. Może rywalki oddadzą mecz walkowerem? Będiesz zwyciężcą, prawda? – siostrzyczka odwróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami.

I jak tu lubić kogoś takiego. Co ciągle się z ciebie śmieje. Nie wierzy, wyśmiewa.

Gdy znalazłam się na korcie, oślepiło mnie słońce. Przez chwilę nic nie widziałam, poprawiłam czapkę i przywitałam się z przeciwniczką. Zauważyłam, że była ode mnie wyższa i lepiej zbudowana. I ja mam z nią wygrać? Może być trudno. Pamiętałam słowa dziadka: „Bez względu na wynik zawodów już wygrałaś”.

Pierwsze uderzenie z forhendu. Piłka przeleciała wysoko i znalazła się na polu kortu. Tuż przed linią. Moja rywalka nie zdążyła do niej dobiec. Punkt dla mnie. Dalszą część meczu rozegrałam jak w amoku. Forhend, bekhend, lift. Z oddali dobiegały mnie głosy kibiców. Naprawdę grałam jak w transie. Na koniec lift i... wygrałam. Trener i moja rodzina oszaleli ze szczęścia.

– Aleksandro, jesteś wielka. Mamy to! – słyszałam.

Kolejne mecze to była dla mnie pestka. Właśnie uświadomiłam sobie, że umiem grać. I to dobrze. Przeciwniczki nie dawały ze mną rady. Mój umysł analizował ich działania. A ja precyzyjnie odpowiadałam na

każdy ruch, czułam się trochę jak w filmie. Bo to była moja wielka rola. Chyba jedna z największych.

Boże, jaka byłam szczęśliwa. Wygrałam, rodzice i dziadkowie ukradkiem ocierali łzy. Co chwilę ktoś podchodził i mi gratulował. W domu usłyszałam nawet słowa uznania od Anastazji:

– Szacun, siostra. Tak naprawdę to od początku w ciebie wierzyłam. Przepraszam za moje słowa. To tak dla zgrywy...

W życiu bym się nie spodziewała, że usłyszę z jej ust coś takiego...

Dzisiaj mijają dwa lata, gdy zaczęłam trenować. To był niesamowity czas dla mnie. Czas pracy nad sobą, morza wylanych łez i wielkich radości. Już wiem, kim są siostry Radwańskie, Kubot, Hurkacz, Grzybowska, Domachowska. Moją wielką idolką jest Iga Świątek. To, co zrobiła, jest niesamowite. Chciałabym choć w części jej dorównać. Wiem, że bycie pierwszą rakieta świata może być trudne. Ale nie niemożliwe. Iga właśnie to udowodniła.

Niestety nie ma z nami już ukochanego dziadziusia. Odszedł pół roku temu. Chorował krótko, ale strasznie. Wiem, że cierpiał, nie mogłam nawet się z nim pożegnać. Nie chciał, bym zobaczyła, jak bardzo wyniszczyła go choroba. Wolał zostać w mojej pamięci jako silny i wesoły mężczyzna. Wiem, że gdziekolwiek teraz jest, czuwa nade mną, puszcza do mnie oko i mówi: „Jeśli nie uwierzysz, że możesz wygrać, przegrasz, z nim zaczniesz biec”. Trzymam się tego za każdym razem. Gdy uczestniczę w zawodach, gram całym sercem, ale nie lekceważę przeciwnika, zgodnie z zasadą: „Wygrywaj bez pychy, przegrywaj bez urazy”. Bo nie zawsze się wygrywa. Prawda?

Dziękuję, dziadku.

LAUREACI

Uczniowie

szkół podstawowych
klas VII–VIII

MIKOŁAJ ADAMCZYK

ZOFIA BARADZIEJ

JULIA DUŃKO

MAJA KLEJMAN

MARIANNA KRÓLICKA

NEL KUCZAJ

MICHAŁ PAWŁOWSKI

MARIA PISKORZ

BARTOSZ SKĘPIEC

MARIA BERENIKA SZCZEPAŃSKA

MIKOŁAJ ADAMCZYK

Nazywam się Mikołaj Adamczyk, dla znajomych Adaś. Właśnie kończę VIII klasę w szkole podstawowej w Woźnikach, małej wsi w województwie małopolskim. Mam wiele pasji: geografę, biologię, ale przede wszystkim szermierkę, którą trenuję od 6 lat. Sport, który daje mi ogromną frajdę, ale też uczy, jak walczyć i nie poddawać się nie tylko na planszy, ale również w życiu. Mimo codziennych treningów w oddalonych o 30 km Brodach mam czas na wycieczki z moją szaloną rodziną w różne ciekawe zakątki Polski i świata. W wolnym czasie często siadam do komputera, jak każdy nastolatek w moim wieku, i oddaję się e-sportom, ale też tworzę, pisząc różne opowiadania. Gdy tylko dowiedziałem się o tematyce konkursu, byłem wniebowzięty. Trenując, marzę, abym kiedyś sam, jak mój bohater Leonidas, mógł zostać mistrzem olimpijskim. Zapraszam do lektury mojego opowiadania *Przez maskę marzeń*.



ZOFIA BARADZIEJ

Jestem Zosia, uczennica VII klasy Szkoły Podstawowej nr 109 w Krakowie. Mam 14 lat, głowę pełną pomysłów i ciało, dzięki któremu każdego dnia mogę nauczyć się czegoś nowego. Robię wszystko, by moje marzenia stały się rzeczywistością.



Kocham czytać, pisać, mówić, zachwycać się, tulić, słuchać. Być czułą, uważną obserwatką otaczającego świata. Zadawać pytania. Poszukiwać odpowiedzi. Z pokorą zgłębiać tajemnice Wszechświata. Ćwiczyć jogę, medytować, skupiać się na własnym oddechu. Cieszyć się pięknem, mieć radochę z małych wolności. Być tu i teraz. Staram się odnaleźć własną drogę. Zrozumieć, czego potrzebuję. Wsłuchać się w głos serca. W przyszłości chciałabym zostać przede wszystkim sobą. Najprawdziwszą, najszczerszą, najcierpliwszą, najżyczliwszą, jaką tylko zdołam być. Uważam, że każda osoba ma wpływ na swoje życie. Nie wszyscy to wiedzą, ale ja tak.

I staram się, by było ono jak najlepsze. Jestem feministką. Poszukiwaczką autentyczności i wrażliwości.

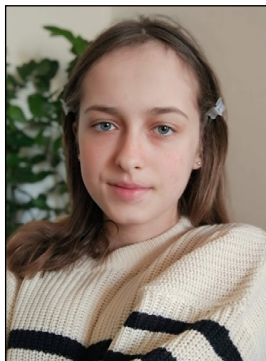
JULIA DUŃKO

Mam 14 lat i jestem uczennicą klasy VIII Szkoły Podstawowej nr 3 z Oddziałami Integracyjnymi w Biłgoraju. Śmiało mogę powiedzieć, że moją największą pasją jest pływanie. Uluźbionym stylem jest klasyczny. Pływam od 6. roku życia w RWKS Sparta pod okiem najlepszego trenera Adama Osucha. Ten sport wypełnia cały mój wolny czas. Lubię wodę, a woda lubi mnie. Dlatego to, co robię, sprawia mi wielką przyjemność i odnoszę w tej dyscyplinie sukcesy. Największymi moimi osiągnięciami jest lokata w pierwszej dziesiątce Polski w zimowych i letnich mistrzostwach Polski juniorów na 200 m stylem klasycznym oraz stylem zmiennym, mistrzostwo województwa na dystansie 200 m stylem klasycznym i 50 m stylem motylkowym oraz wicemistrzostwo województwa w pływaniu długodystansowym na 1500 m w kategorii open. Największą satysfakcję sprawia mi zaskakiwanie siebie samej i trenera moimi życiowymi osiągnięciami. Sukcesy motywują mnie do dalszej pracy. Pragnę pływać jak najdłużej, realizować swoje plany i marzenia pływackie. W mojej krętej drodze do marzeń wspiera mnie rodzina. Biorę udział także w konkursach literackich i plastycznych. Pochwalę się jeszcze, że jestem także laureatką konkursu „Co lubię? Sport lubię”. Jestem dumna z tego, jak daleko zaszłam, i mam nadzieję na więcej.



MAJA KLEJMAN

Uczę się w VIII klasie Społecznej Szkoły Podstawowej nr 11 STO „Toruńska” w Warszawie i mam prawie 14 lat. Jestem harcerką, a moja drużyna nosi nazwę Sensorium. Inni mówią o mnie, że jestem wrażliwa i refleksyjna. Pewnie dlatego



napisałam opowiadanie *Presja*, którego bohaterka jest podobna do mnie z charakteru. Jestem pasjonatką literatury, a szczególnie lubię gatunek fantasy i powieści społeczno-obyczajowe. *Władcę pierścieni* przeczytałam cztery razy. Dzięki literaturze poznaję różne nieprawdopodobne historie, a czytanie lub słuchanie audiobooków naprawdę mnie relaksuje. Lubię uczyć się matematyki, języka angielskiego i biologii, a w przyszłości chciałabym zostać psychoterapeutką lub neurologką. W dzieciństwie uczęszczałam na balet i tańce, jednak nie odniosłam na tym polu sukcesów. Aktualnie uczęszczam do sekcji wspinaczkowej. Najcudowniej czuję się na samej górze ścianki, ale opadanie też jest fajne. Uwielbiam podróżować i marzę o zobaczeniu Japonii. Jednak najbardziej pragnę, aby na świecie panował pokój i aby ludzie byli dla siebie mili.

MARIANNA KRÓLICKA

Mam 14 lat i jestem ósmoklasistką Szkoły Podstawowej nr 341 im. Twórców Literatury Dziecięcej w Warszawie. Uwielbiam pływać i to właśnie woda jest moim żywiołem! Ta dyscyplina sportowa jest ze mną związana, od kiedy skończyłam 4 miesiące. Pływam całe swoje życie i kocham to robić. Jest to mój sposób na oderwanie się od rzeczywistości i trudów codzienności.



Pasjonuję się również teatrem, głównie musicalami. Uczęszczam na zajęcia musicalowe od 8 lat i występuję na deskach różnych teatrów. Najbardziej podoba mi się to, że musical łączy taniec, śpiew i aktorstwo w jednym, co sprawia że można wciągnąć widza w świat sztuki w pełnym zakresie. Moimi ulubionymi są *Matilda* i *Beetlejuice*.

Lubię też czytać. Kryminały i thrillery to zdecydowanie moje pierwsze wybory. Natomiast pisanie sprawia, że mam możliwość wejścia w kompletnie nowy świat, który sama mogę wykreować – czasami na bazie swoich doświadczeń, a czasami dzięki przemyśleniom, które miałam po przeczytaniu innych twórców.

Nie wiem jeszcze, kim zostanę w przyszłości. W szkole zaciekały mnie informacje, z którymi zapoznałam się na wiedzy o społeczeństwie, a ponieważ uwielbiam mówić po angielsku, to być może uda się te dwa obszary połączyć zawodowo. Natomiast wiem, że nigdy nie przestanę pływać!

Swoją nagrodę dedykuję przede wszystkim rodzicom oraz moim ulubionym trenerom Bartkowi i Radkowi.

NEL KUCZAJ

Nazywam się Nel Kuczaj i jestem uczennicą VII klasy Szkoły Podstawowej w Mysłkowicach. To malownicza miejscowość znajdująca się u podnóża Karkonoszy między Jelenią Górą a Karpaczem. Z mojego domu rozciąga się widok na szczyt gór – Śnieżkę. To piękny i inspirujący krajobraz o każdej porze roku. Nie każdy ma możliwość mieszkać w tak uroczym zakątku Polski.



Jestem wielbicielek literatury. Od małego lubiłam spędzać wolny czas, czytając książki. Miałam wtedy możliwość przenoszenia się do cudownego świata wyobraźni. Czytanie jest dla mnie odskocznią od codzienności i pozwala choć na chwilę zapomnieć o problemach i niepokojach, z którymi mierzy się chyba każdy nastolatek. Utwory, po które najczęściej sięgam, należą do gatunku fantasy, ale lubię także powieści poruszające wątek *true crime*. Do pisania zachęciły mnie właśnie książki oraz chęć przelania na papier wielu pomysłów, które zrodziły się w mojej głowie po ich lekturze. Moimi ulubionymi przedmiotami są matematyka, język angielski oraz zajęcia z rysunku, z którym zresztą wiązę swoją przyszłość. Zamierzam studiować archi-

tekturę, dlatego staram się rozwijać umiejętności, które pozwolą mi spełnić to marzenie.

Jestem ambitną nastolatką i wytrwale dążę do zrealizowania swoich celów. Porażki hartują mnie i motywują do pokonywania trudności, natomiast sukcesy utwierdzają w przekonaniu, że jeśli człowiek czegoś bardzo chce, może to osiągnąć.

MICHAŁ PAWŁOWSKI

„Zacznijmy od tego, że jestem chłopakiem. Takim typowym, który lubi wspinać się na drzewa i biegać za piłką (...).”

Urodziłem się w sierpniu 2008 roku. Jestem uczniem VII klasy Szkoły Podstawowej nr 321 w Warszawie.



Moją pasją jest sport. Treningi hokeja zacząłem w wieku 5 lat, ale po czterech latach zauroczyła mnie siatkówka i całkowicie „wpadłem”. Tę dyscyplinę trenuję już 6 lat. Nie jest to jedyna dyscyplina, którą się zajmuję. Lubię biegać, jeździć na łyżwach, rolkach i rowerze oraz pływać i to spowodowało, że zainteresowałem się triathlonem. Mam już za sobą kilka startów i nawet udało mi się dwa razy stanąć na podium. Miałem też ponadroczny epizod z nauką gry w snookera – świetna sprawa.

Sport nie jest moją jedyną pasją. Od kilku lat jestem aktorem dziecięcym oraz dubbingowym. To fantastyczna aktywność, w której się bardzo odnajduję. Mam sporą wyobraźnię i czasem przenoszę ją na

papier. W klasach 1-3 szkoły podstawowej napisałem cykl opowiadań *Koty i ich psoty* na podstawie kreskówki *Simons Cat*.

Opowiadanie chciałem zadedykować: Rodzicom, mojej Pani Opiekun tego projektu, Trenerom wszystkich dyscyplin, które uprawiam i uprawiałem, Nauczycielkom języka polskiego oraz Panu Jerzemu Górskiemu, który mnie zainspirował do dalszego szukania rozwiązań.

MARIA PISKORZ

Mam 15 lat. Jestem uczennicą VIII klasy Szkoły Podstawowej im. Jana Pawła II w Starych Kobiątkach. Mieszkam z rodzicami i młodszą siostrą w niewielkiej miejscowości Nowy Jamielnik, położonej w województwie lubelskim. Uwielbiam rysować. Lubię zwierzęta. W wolnych chwilach jeżdżę konno. Jestem kreatywną i wrażliwą dziewczyną, zaczytaną w celtyckich legendach oraz powieściach fantasy. Cenię sobie szczerość. Uważnie obserwuję codzienność. Należę do drużyny harcerskiej 7 DHS 22 Południk im. Władysława Żaluski. Od czterech lat piszę prozę. Wszystkie dotychczasowe sukcesy literackie zawdzięczam swojej polonistce oraz rodzicom.



BARTOSZ SKĘPIEC

Jestem uczniem klasy VIII Szkoły Podstawowej nr 141 im. gen. Mariusza Zaruskiego w Łodzi. Dobrze radzę sobie z przedmiotów humanistycznych, nie przepadam za fizyką i chemią. W czasie wolnym lubię czytać książki i uprawiać sport.

Jestem energiczny, lubię innych ludzi. Mam dużą sympatię do zwierząt, szczególnie do psów. Historia opisana w moim opowiadaniu jest prawdziwa. Kiedy o niej przeczytałem, od razu wiedziałem, co będzie tematem mojego opowiadania. Obecna sytuacja na świecie jest bardzo trudna, lecz wierzę, że wszyscy wyjdziemy z tego silniejsi.



MARIA BERENIKA SZCZEPAŃSKA

Mam 14 lat. Jestem uczennicą Szkoły Podstawowej nr 70 im. Bohaterów Monte Cassino w Warszawie. Śmiało mogę powiedzieć, że jazda na rolkach jest jedną z moich pasji, a na ośmiu kółkach przejeździłam większą część swojego życia. Pierwszy raz założyłam rolki, gdy skończyłam 3 lata. Nie pamiętam siebie bez rolek. Na początku jeździłam rekreacyjnie, ale



zawsze chciałam rozwijać swoje umiejętności, jeździć efektownie, kręcić piruety. To było moje marzenie. Kilka lat jeździłam na łyżwach figurowych. Od tego wszystko się zaczęło. Złapałam sportowego bakcyła. Poza sezonem trenowaliśmy figury łyżwiarskie na rolkach, wtedy poczułam, że sprawia mi to radość, dodaje energii i siły.

Jestem licencjonowanym zawodnikiem freestyle slalomu, trenuję w klubie sportowym Slalom Academy w Warszawie. Potrafię i lubię również jeździć konno. Kocham konie, ale bliskie są mi wszystkie zwierzęta. Fascynuję się biologią i chemią. Z biologią wiązę swoją przyszłość, ponieważ chciałabym zostać lekarzem weterynarii. Mam w sobie ogromną wrażliwość i empatię do ludzi i zwierząt. Nie lubię kompromisów, stawiam sobie wysoko poprzeczkę, dużo pracuję i dużo od siebie wymagam. A moje pisanie? Jest ze mną od zawsze, to moje emocje i doświadczenia. Wiele osób mówi mi, że ono wychodzi z mojej językowej wyobraźni, mam „lekkie pióro”. Często chodzą za mną słowa, lubię się nimi bawić, mam pomysły na różne teksty, więc je zapisuję. Pisanie wydaje mi się bardzo trudne, ale paradoksalnie przychodzi mi łatwo. Wierzę, że w życiu spełnię marzenia, przecież: *Cokolwiek potrafisz lub myślisz, że potrafisz, rozpocznij to. Odwaga ma w sobie Geniusz, potęgę i magię* (J.W. Goethe).

Mikołaj Adamczyk

Przez maskę marzeń

– Dzień dobry, drogi panie. Chyba najwyższa pora już wstać – powiedziała mama, wchodząc do mojego pokoju i kierując się w stronę okna, aby odsłonić żaluzję.

Nie zareagowałem, naciągnąłem tylko kołdrę wyżej na głowę, by choć chwilkę jeszcze podrzemać.

– Auu! – wrzasnęła mama – Mikołaj! Chociaż raz zostawiłbyś torbę szermierczą na swoim miejscu! Od września masz iść do szkoły sportowej do Warszawy, ale chyba nigdzie nie pójdziesz! – mama krzyczała tak głośno, że było ją chyba słychać na drugim końcu Polski. – Nigdzie takiego bałaganiarza nie przyjmą!

Zdałem sobie sprawę, że to nie przelewki i muszę szybko udobruchać mamę. Wyskoczyłem z łóżka jak z procy i uprzedziłem ją w odsłonięciu rolety.

– Dzień dobry, kochana mamusiu – powiedziałem z najbardziej czarującym uśmiechem na twarzy – Co dziś serwujesz na śniadanko dla przyszłego mistrza olimpijskiego? Piękne zapachy dochodzą z kuchni. – Wiedziałem, że mama ma hopla na punkcie zdrowego żywienia i uwielbia dla nas gotować i wymyślać coraz to nowe potrawy.

– Nie podlizuj się – odparła mama już tonem małej myszki, a nie, jak przed chwilą, rozwścieczonej bestii.

– Uff – odsapnąłem po cichu, przepychając torbę szermierczą w kąt pokoju, żeby już nie zawadzała. Całe szczęście, że sytuacja opanowana, bo mógłbym to jeszcze przypłacić niemożnością uczestniczenia w treningu, na co nie mogłem sobie pozwolić, bo niebawem czekały mnie mistrzostwa Polski juniorów.

Dzień zapowiadał się piękny, słońce grzało niemiosiernie.

– Boże, jak ja wytrzymam w tej budzie? – powiedziałem sam do siebie.

Dobrze, że dziś wtorek, w klubie będzie strumień, czyli stosowanie określonych działań jeden po drugim, powtarzając dany element aż do opanowania. Uwielbiałem to ćwiczenie, mogłem się „wyżyć” na trenerze za wszystkie ciężkie treningi.

Zjadłem pełnowartościowe śniadanie, które miało mi dać siłę do przetrwania w szkole siedmiu nudnych godzin, a potem do realizacji moich sportowych pasji na treningu. Uśmiechnąłem się pod nosem i przytuliłem mamę, chcąc jej w ten sposób okazać swoją wdzięczność, i wyszedłem na pole, aby poczuć zapach nadchodzącej wiosny. Niestety nie było zbyt dużo czasu i musiałem z bólem zbierać się do szkoły. Pierwszą lekcją była historia. Gdy zadzwonił dzwonek, weszliśmy do klasy, pani się z nami przywitała, a ja od razu położyłem się na ławce, bo stwierdziłem, że jak zwykle będzie nudny monolog, z którego nic nie wyniosę, więc lepiej zrobię zadanie, które zlecił mi trener. Miałem rozpisać walkę mojego kumpla z kadry, który był ostatnio na Pucharze Europy w Nowym Sadzie. Ależ mu zazdrościłem tego powołania, ale wiedziałem, że sam też kiedyś mogę być na jego miejscu, tylko muszę ciężko pracować. Zająłem się lekturą zadania, gdy nagle z głębi sali dobiegł mnie głos nauczycielki:

– Dzisiaj zajmiemy się początkami szermierki i jej obecnością na arenach olimpijskich.

Uszy mi się postawiły do góry jak głodnemu szczeniakowi, który usłyszy szelest torby, w której jest jego papu. Od razu podniosłem się z ławki i zacząłem uważniej słuchać. Zastanawiacie się pewnie dlaczego, otóż już wam mówię: od sześciu lat trenuję szermierkę, a nie bardzo znałem jej genezę.

– Adaś! Z tego, co mi się obilo o uszy, młody przyjacielu, chyba trenujesz ten sport? Może przyniosłbyś na kolejną lekcję coś związanego z nowoczesną szermierką? – Wiedziałem, że to do mnie, już się przyzwyczaiłem, że grono pedagogiczne też od czasu do czasu używa mojego szkolnego przezwiska.

– Jasne, psze pani, zrobi się! Może byśmy nawet jakiś miniturniej urządzili, jak średniowieczni rycerze? – rzuciłem, kątem oka spoglądając na kumpli, którym szczena opadła poniżej szyi, i kontynuowałem, widząc ich zaciekawienie.

– Spokojnie, psze pani, mam plastikową broń, to w pełni bezpieczne.

– Taak!!! Taak, prosimy, prosimy. Będzie super! – męskie grono napierało na nauczycielkę.

– Sio, muchy – odgoniła nas na bezpieczną odległość, uśmiechając się przyjaźnie. – Skoro Adaś twierdzi, że to bezpieczne, zgoda!

Ale czad, pomyślałem, może uda mi się kogoś jeszcze „zarazić” tym sportem, a nawet jak nie, będę mógł się wykazać w tym, w czym jestem coraz lepszy, tak mi się przynajmniej wydawało. Mijała godzina za godziną, a lekcje dłużyły się niemiłosiernie, w końcu nadeszła chwila wyjścia ze szkoły.

Po treningu pospieszyłem do domu, aby poprosić mamę o pomoc w przygotowaniu mi jakiejś prezentacji

na jutrzejszy dzień, bo nie chciałem tylko pokazywać klasie rekwizyty. Mama zgodziła się z miłą chęcią, wiedziała, że ten sport daje mi ogromną moc i był źródłem energii, która mnie rozpierała i pchała do działania.

– Młody, a może poszedłbyś na strych po tę starą maskę szermierczą z czasów początków szermierki, miałbyś dla porównania stary i nowoczesny sprzęt?

– Mama, tę przedpotopową maskownicę wstyd komuś pokazywać, wyśmieją mnie! – zachnąłem się.

– Mógłbyś pokazać różnice między nowoczesnym a starym sprzętem – mama nie dawała za wygraną.

– No w sumie masz rację, co mi szkodzi – odparłem i skierowałem się na strych. Poszukując maski, przeko-
pałem większość gratów, jak to na strychu, i nie mogłem jej znaleźć. Zrezygnowany, już miałem schodzić na dół, gdy nagle potknąłem się o jakieś stare pudełko, wystające spod półki, i zobaczyłem coś, co przypominało średniowieczną przyłbicę. To chyba to, schyliłem się, wyciągając rękę w jej stronę. Nie byłbym sobą, gdybym nie założył sprzętu na siebie. Zobaczyłem błysk jasnego światła, które mnie oślepiło, i poczułem, jak gdzieś spadam. Po chwili ocknąłem się i zobaczyłem jakąś dziwną, jakby z innej epoki ulicę. Nie miałem pojęcia, co się stało i gdzie jestem. Na pewno nie był to mój strych.

– Przepraszam, gdzie ja jestem? – spytałem po angielsku, bo człowiek, którego minąłem, nie wyglądał na Polaka.

– Jesteśmy w Atenach – odpowiedział nieznajomy.

– A który mamy rok? – zapytałem niepewnie, rozglądając się dookoła: stare budynki, ci śmiesznie ubrani ludzie – to wszystko świadczyło o innych czasach.

– Jest rok 1895 – powiedział już nieco zdenerwowany moimi ciągłymi pytaniami przechodzień.

Zalałem się łzami, ale zaraz postarałem się opanować. Chciałem znaleźć jakieś rozwiązanie. „Pamiętaj, nie ma sytuacji bez wyjścia, walcz do końca” – słyszałem w uszach słowa trenera, który każdego dnia mi je powtarzał. Nie wiedziałem, co robić, byłem zapłakany i zagubiony. Usiadłem na rogu ulic i próbowałem się jakoś ogarnąć. Po kilku minutach podszedł do mnie przechodzień i spokojnym głosem zapytał:

– Co się stało, młodzieńcze?

– Sęk w tym, że nie mam pojęcia, jak i dlaczego znalazłem się w tym miejscu – powiedziałem ocierając łzę w oku.

Przechodzień zaproponował mi, abym poszedł razem z nim do jego domu. Wiedziałem, że nie powinienem, ale z drugiej strony, co miałem do stracenia. Sam w innym kraju, innej epoce, bez domu, a przede wszystkim bez treningu... i znowu łzy napłynęły mi do oczu. Zrobiłem kilka wdechów tak jak przed ważnymi zawodami i zdołałem opanować swój strach. Nieznajomy ugościł mnie w swoim mieszkaniu, dał ciepły posiłek i położył spać w swojej sypialni. Następnego dnia, gdy słońce zajrzało do pokoju, myślałem, że to tylko zły sen, ale jednak to, co się wydarzyło poprzedniego dnia, działa się nadal. Wstałem z łóżka i zacząłem rozcłądać się po domu. W kuchni znalazłem tego samego nieznanego co wczoraj, przygotowywał właśnie dla nas śniadanie, równie bogate w białko i węglowodany, jakie przygotowywała mi mama. Przywitałem się z nim i zapytałem:

– Kim pan jest?

– Jestem Leonidas Pirgos, pochodzę z Grecji, a ty kim jesteś? – odpowiedział pytaniem mój wybawca.

– Nazywam się Mikołaj. Czy pan nie jest przypadkiem tym sławnym szermierzem? – zapytałem

nieśmiało, kojarząc twarz z wczorajszej lekcji historii, którą nauczycielka wyświetlała podczas swojej prezentacji.

– Zgadza się, jestem szermierzem, ale czy sławnym, chyba nie – i roześmiał się w głos – Może mówmy sobie po imieniu, tak będzie łatwiej?

– Jasne, nie ma sprawy – odpowiedziałem już trochę śmieiej, bo znalazłem pokrewną duszę. – A może nauczyłbyś mnie paru sztuczek, kto wie, ile jeszcze będę tutaj siedział, a każdy dzień bez treningu to dzień stracony.

– Możesz chodzić ze mną na salę, podglądać, jak trenuję, i może mój trener cię przetestuje i będziesz mógł z nami poćwiczyć. Ja się przygotowuję do igrzysk olimpijskich, one będą już za rok w Atenach.

– Wiem, widziałem wczoraj na internecie – rzuciłem i znowu poczułem to ukłucie zazdrości.

– Co to internet? – spytał zaciekawiony Leon.

– A nic takiego, nieważne! To kiedy ten trening? – zmieniłem szybko temat rozmowy.

Leon zaprowadził mnie do sali, w której trenował. Trudno to nazwać salą, nie było tam planszy, na której ja codziennie trenowałem w Brodach, nie było sygnalizacji świetlnej ani nawet strojów podobnych do naszych. Jedyne, co było podobne, to maski, wszystkie były jak ta nieszczęsna, która zabrała mnie z ukochanego domu.

Mijały tygodnie, a ja razem z Leonidasem trenowałem, tzn. bardziej władaliśmy białą bronią. Dziwnie mi się walczyło tym archaicznym sprzętem. Głównia floretu była bardzo sztywna i dlatego zadając pchnięcia, trzeba było unosić rękę wysoko do góry. Zauważyłem, że szermierka w tych czasach, w których się znalazłem, była ćwiczeniem kształtującym zręczność ruchów

i przede wszystkim dodawała wdzięku. Wszystko było fajnie, ale coraz bardziej tęskniłem za mamą i swoimi kolegami z klubu. Przypomniałem sobie o masce, którą zostawiłem na rogu tamtej ulicy i wpadłem na genialny pomysł, że skoro mnie tutaj przyniosła, to powinna mnie też zabrać z powrotem. Nie minęła godzina, a ja sterczałem już na rogu ulicy, szukając maski. Jej odnalezienie nie było trudne, ponieważ w tamtych czasach nie istniało nic takiego jak kosz na śmieci i wszystko leżało na ziemi. Tak jak poprzednim razem założyłem ją na głowę i liczyłem na to, że przeniesie mnie z powrotem, ale nic się nie działo. Poczekiałem jeszcze chwilę, ale zamiast teleportacji usłyszałem głos: „Wróć do domu, gdy ta maska zostanie założona przez pierwszego mistrza olimpijskiego w szermierce”. Ha, bingo! Mój plan na pewno się uda, pomyślałem, przecież wiem, kto wygra zawody, nie może być nic prostszego. Pobiegłem do Leonidasa i kazałem mu założyć tę maskę. Leon niepewnie wziął i założył ją na głowę, ale tak samo jak poprzednio nic się nie działo.

– Jak to, dlaczego? Przecież jesteś pierwszym mistrzem olimpijskim? Czemu nic się nie dzieje? – krzyczałem, a łzy cisnęły mi się do oczu.

Zapłakany pobiegłem do domu i żeby już nie myśleć, położyłem się spać. Znowu minęło kilka tygodni, a ja dalej nie rozumiałem, dlaczego tak się stało. Zaprastałem nawet pojedynków z Leonem, bo nie wiem czemu, ale jego obwiniałem za to, że jestem tutaj. Może ta maska kłamie? Zakładałem ją na głowę chyba z milion razy, myślałem i czytałem różne książki, które znalazłem w domu Leonidasa, i nic. Przechadzając się kiedyś jedną z uliczek prowadzącą do miejsca, w którym się znalazłem po raz pierwszy w Atenach, zauważyłem małego chłopca, któremu tylko głowa wystawała zza

rogu. Młodzieniec bacznie mi się przyglądał. Nie wytrzymałem już ze złości na całą tę sytuację i zacząłem krzyczeć na chłopca:

– Czego się tak gapisz?! Maski nie widziałeś?! Zjeżdżaj stąd, ale już! – ładowałem w chłopaka mięsem armatnim.

– Znam cię! Jesteś Mikołaj – powiedział, wysuwając się zza rogu i podając mi rękę.

– Ja jestem Sasza.

– O Boże! Przepraszam, nie chciałem – spuściłem głowę, bo wstyd mi było za te słowa, które przed chwilą do niego skierowałem. Chłopiec był na wózku inwalidzkim. Jak się później okazało, urodził się już z lekkim niedowładem kończyn i nikt nie umiał mu pomóc. Gdyby żył w naszych czasach, jedna operacja dałaby mu możliwość chodzenia.

– Wiem, w czym tkwi problem – odezwał się Sasza, widząc moje zakłopotanie.

– Co? Jak to? Skąd o tym wiesz? Przecież nawet Leonowi nie mówiłem!

– To proste! Przecież Leonidas nie został jeszcze mistrzem olimpijskim, dlatego maska nie działa.

– O rany! Faktycznie, że też mi to do głowy wcześniej nie przyszło.

Od tego momentu wiedziałem już, że muszę pomóc Leonidasowi, aby na 100% został mistrzem, bo w końcu od tego zależał mój powrót. Przypomniały mi się wtedy słowa, które znalazłem na jednej ze stron poświęconych szermierce: „Cel to nic innego jak marzenie z terminem realizacji”. Marzenia były dwa: Leonidas – zostanie mistrzem, i moje – powrotu do domu.

Mijały kolejne tygodnie żmudnej pracy, Sasza towarzyszył nam na każdym treningu, przyglądając się każdej zasłonie, wiązaniu, odbiciu, których nauczyłem

Leonidas. Jednak nigdy uśmiech nie zagościł na jego twarzy. Moje myśli były zaprzątnięte naszymi marzeniami. Wiedziałem, że aby stały się rzeczywistością, trzeba dużo poświęcenia i wysiłku oraz potu wylanego na treningach.

Nadszedł w końcu ten kwietniowy dzień 1896 roku. Wszyscy niezwykle podekscytowani towarzyszyliśmy Leonidasowi, który wystąpił w turnieju floretowym. Był niepokonany w swojej grupie eliminacyjnej szermierzy. W finale zmierzył się ze swoim kolegą Grekiem, który również przeszedł swoją grupę eliminacyjną bez porażki. Finał był bardzo zacięty. Było 4:4, czas dobiegał końca, aż tu nagle Leon złamał klingę. Sędzia zarządził przerwę techniczną. Byłem przy nim, ale nie umiałem wydusić z siebie słowa, bo zobaczyłem Saszę, który obgryzł paznokcie aż do krwi, i wtedy mnie olśniło. Przecież jak on założy maskę, będzie miał szansę na normalność, będzie mógł, tak jak my – sportowcy, cieszyć się z każdego kroku, podskoku, może też zostanie szermierzem? Adrenalina sięgała zenitu. Po kilku minutach Leon dostał inną szpadę. Do końca walki zostało kilkanaście sekund. Leonidas, jak na prawdziwego mistrza przystało, zastosował wiązanie przeciw szóstej, odbicie czwarte i wygrał. Cały we łzach szczęścia poszedł na podium odebrać trofeum dla zwycięzcy, a ja wtedy pomyślałem, że też kiedyś tak jak on chciałbym odebrać to najważniejsze dla sportowca trofeum – medal olimpijski.

Podszedłem do Leonidas, pogratulowałem i poprosiłem o maskę.

– Trzymaj, Sasza! Tobie bardziej się przyda. To przepustka dla ciebie do normalnego życia, do życia sprawnych. Nie czekając na jego odpowiedź, założyłem mu maskę na głowę.

– Bo życie jest po to, by spełniać marzenia, niech się spełni i twoje.

– Mikołaj, Mikołaj co się stało? Czemu ty tyle czasu jesteś na tym strychu? – usłyszałem jak z zaświatów głos mamy.

– Kurczę, nie wiem, co się stało, musiałem chyba uderzyć głową w tę belkę i zemdlałem. Rozejrzałem się dookoła, wszystko było na swoim miejscu, a maska nadal tkwiła w pudełku zarośnięta grubą warstwą pajęczyny.

Zofia Baradziej

Biegnij!

Musisz! Biegnij! Dalej!

Nie możesz się zatrzymać.

Ani mi się waży zwalniać. Tylko spróbuj zboczyć z kursu.

Nigdy ci tego nie wybaczę.

Szybciej!

Co, jesteś taka słaba? Przestało ci zależeć? Przecież tyle się napracowałaś. To jest twoja szansa. Drugiej nie będzie.

Myślisz o tym, że mogłabyś ją tak bezczelnie zmarnować?!

No co to ma być?

I ty uważasz, że jesteś w czymś dobra? Twoi rodzice tak się poświęcali, a ty tak się im teraz odwdzięczasz?

Czym oni sobie na to zasłużyli, niewdzięcznico? Będą tacy rozczarowani. Nigdy cię nie docenią. Nigdy nie zauważą.

Liczy się tylko podium.

Inne miejsca są dla nieudaczników. Tych, którzy nigdzie nie dojdą.

Chyba nie chcesz być jak oni?

Liczy się tylko pierwsze miejsce.

Twój trener był wtedy z ciebie dumny. Widziałaś respekt w jego oczach. Pamiętasz to uczucie? Wyobraź sobie, że mogłabyś to stracić. Nie, lepiej nawet o tym nie myśl.

Ciśnij! No, mocniej!

Jej serce bije coraz szybciej i szybciej. Biegnie. Biegnie, marząc, by zobaczyć metę. Ale nie może jej dostrzec. Bo w tym wyścigu nie ma mety. Tylko ona o tym jeszcze nie wie. Nie umie nadążyć za własnymi nogami. Ale biegnie, bo nie może się zatrzymać. Jej ciało krzyczy: Dość! Przestań! Ona nie potrafi. Zbyt wiele lat żyła w tym schemacie. Za wiele wyrzeczeń ją to kosztowało. Nie mogłaby teraz przestać. Trudno jest się zatrzymać. Rozumiem ją.

Ona ma rude, grube warkocze. Jej włosy we wszystkich odcieniach jesieni pachną jak wysuszona kora iglastego drzewa. Jest niska. Jak twierdzi: „za” niska. Ma przepiękne kolana. Wszystkie dziewczyny z klasy ich jej zazdroszczą. Ona uważa, że są „koślawe”. Całe życie mówili do niej per „Gruba”.

Zaczęła ćwiczyć. Dużo ćwiczyć. Niewyobrażalnie dużo ćwiczyć. Wydawało jej się, że jest coraz lepiej. Miała wrażenie, że ją polubili, zaakceptowali. Ona dalej czuła się źle, a nawet jeszcze gorzej. Ale co z tego? Czy akceptacja rówieśników nie jest najważniejszą sprawą w życiu nastolatki?

I jeszcze docenił ją trener. Ale była wtedy dumna! Ona, która nie umiała piłki złapać na treningach indywidualnych? No niemożliwe! Jej rodzice w końcu powiedzieli: „Będą z ciebie ludzie”. Kto w takiej sytuacji przejmowałby się, że coś mu doskwiera? Widziała tę ogromną radość. Przecież nie mogła tego popsuć.

Polubiła sport, owszem. To była dla niej ogromna frajda. Gdyby tylko nie ta presja... Trening po treningu. Coraz więcej i więcej.

I przyszedł pierwszy duży sukces. Kolejny, a po nim kolejny i kolejny.

Ćwiczyła jeszcze dłużej. Cisnęła jeszcze mocniej. Trener nie musiał nic mówić, ona i tak robiła dziesięć razy więcej powtórzeń, niż polecił. Wydaje ci się to niemożliwe? Możliwe. Jakoś przecież trzeba dojść na szczyt. Czyż nie?

Ona biegnie teraz najważniejszy wyścig w swoim życiu. Wie, że nie może się zatrzymać. Nie może przestać. Bo zawiedzie wszystkich. Straci wszystko, na czym do tej pory zbudowała swój świat.

Ona jest mądra. Ona jest sumienna. Ona jest ambitna. Ona jest piękna. Choć stojąc przed lustrem, mówi sobie, że jest do niczego – to ją ma zmotywować do zmiany. Sprawi, że będzie jeszcze bardziej zdyscyplinowana.

Nie. Nie sprawi. Ja to wiem. Ona też kiedyś zrozumie.

Ona jest silna. Nie wie nawet, jak silna. Ta energia ją przytłacza, ale i rozpiera, niesie. Biegnie.

Co ja robię? Gdzie ja jestem? Która jest godzina?

Co się dzieje? Nie mogę oddychać! Biegnij!

No dalej, przecież musisz być już bardzo blisko.

Jeszcze tylko trochę!

Nie. Nie, nie tym razem. Jestem wykończona!

Biegnij!

Mam dość! Ja już nie mogę. Dłużej nie wytrzymam.

Biegnij!

To nie jest mój wyścig. To nie będzie mój sukces.

To wszystko nie jest moje.

Biegnij!

To nie jestem ja.

Biegnij!

Czuję, jakby ktoś położył na mnie stos książek sięgający nieba. Każdy oddech to wielkie wyzwanie. Mam ściśnięte gardło. Boli mnie brzuch.

Biegnij!

Coraz mocniej. Ktoś dokręca mi śrubę.

Czuję całe swoje nogi, wszystkie mięśnie. Są napięte.

W rękach przepływają mi bolesne impulsy. Cała drzę.

Czy ja mogę sobie jakoś pomóc? Nie umiem. Nie wiem jak.

Brakuje mi siły, by utrzymać głowę w pionie. Jeszcze nigdy nie byłam tak zmęczona! Zwycięstwo nad sobą?

Co to ma znaczyć?

Walczę z sobą, od kiedy pamiętam.

Przetestowałam, doświadczyłam, mam dość.

To nie dla mnie. Na pewno nie w taki sposób.

Jestem ważna. Jestem ważna? Jestem ważna!

Moje potrzeby są ważne!

Wdech.

Wydech.

Teraz zawalczę o siebie.

O nie! Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam, co ja zrobiłam?

Stoję w miejscu.

Nie biegnę.

Nie biegnę.

Co to? Niemożliwe. Nie, jednak nie.

Przedemną na ziemi rozciągają się litery. Układają się w słowa:

START / META

Julia Duńko

Moje olimpijskie marzenia...

Sport to radość życia, emocje, pokonywanie swoich słabości, nieśmiałości, siebie samego. To walka o bycie najlepszym! Sport to dla mnie wielka siła i wytrwałość w dążeniu do celu, to wielka przygoda, która niesie ze sobą ludzi, którzy kochają wysiłek oraz myślą i czują podobnie jak ja...

Kilkadziesiąt kilometrów od Lublina na Roztoczu leży niewielkie miasteczko Biłgoraj. Tam właśnie mieszka i trenuje Julka, zwykła i skromna dziewczyna. Ubiera się zwyczajnie jak każda ósmoklasistka. Nie wyróżnia się niczym szczególnym na tle innych nastolatek poza tym, że większość swojego życia spędza w wodzie i jak przysłowiowa ryba dobrze się w niej czuje. Treningi na basenie to jej codzienność, jedenaście razy w tygodniu po 2 godziny i w weekendy też w wodzie, bo zazwyczaj wtedy są zawody. Julka bardzo ciężko pracuje. Stara się najmocniej, jak tylko potrafi, angażować w to, co robi. Nigdy się nie poddaje. Jeśli coś zacznie, to musi skończyć i to nie byle jak. Mimo że ma bardzo mało wolnego czasu, w szkole idzie jej całkiem nieźle. Wspieram ją w tym, co robi, jak tylko potrafię, podobnie jak jej kochająca rodzina, bo robi to z wielkim zaangażowaniem i „sercem”. Kocha pływać.

Jej ciężka praca przekłada się na sukcesy. W Julki pokoju na honorowym miejscu nad biurkiem wiszą zdobyte w zawodach pływackich medale. Jest ich bardzo dużo, w sumie około stu. Julka nie chwali się nimi, ale jak zacznie o nich opowiadać, to nie ma końca. Każdy z nich ma dla niej wielką wartość i swoją historię. Marzy o tym, by tak jak Otylia Jędrzejczak reprezentować w przyszłości Polskę na igrzyskach olimpijskich i aby wśród tych medali znalazł się ten jedyny, olimpijski. To jest jej cichy cel i marzenie życia, do którego dąży.

To cała Julka, moja przyjaciółka, z którą w wieku 6 lat weszliśmy na ten sam „okręt klubu pływackiego SPARTA”. Razem płyniemy na nim już ósmy rok. Wspieramy się i pomagamy sobie w trudnych chwilach, czasem też się uzupełniamy. Każdy z „załogi” daje z siebie wszystko, by ta nasza wspólna „łajba” nie zatonała i miała się jak najlepiej. Kapitanem naszego okrętu jest trener Adam – wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o niebieskich oczach i dużych ustach, całkiem łysy. Jest on człowiekiem z zasadami, bardzo wymagającym. Uważa, że nawet jeśli coś jest perfekcyjnie zrobione, to i tak trzeba się jeszcze bardziej starać. Zawsze punktualny, poukładany, przygotowany do zajęć, czasami lubi pożartować. To dzięki jego zaangażowaniu i poświęceniu tworzymy superdrużynę, w której każdy ma wielką wartość w oczach trenera i ważną funkcję do spełnienia.

Wszyscy dobrze wiemy, jaki jest cel naszej wspólnej podróży, a w dążeniu do niego od początku pomagają nam zasady egzekwowane przez trenera na naszym „pokładzie”. Szacunek, wzajemne wsparcie oraz staranność w wykonywaniu zadań to podstawa w naszej drużynie. Trener Adam powtarza, że każdy trening to

walka z samym sobą, ze swoją słabością i z tym, co ma się w głowie, i że jeśli to pokonamy, będziemy zwycięzcami na treningu, a potem także tryumfatorami swojego dystansu po ciężkiej walce na zawodach.

Podobnie jak baron de Coubertin mawia: „W życiu ważny jest nie triumf, lecz walka. Istotną rzeczą jest nie zwyciężać, lecz umieć toczyć rycerski bój”. Każdy stara się dać z siebie wszystko. Trenujemy w bardzo fajnej drużynie. Każdy ma już swój ulubiony styl i dystans. Każdy walczy o indywidualny start jako zawodnik, ale także jako drużyna. Każdy chce być najlepszy i wie, że może nim zostać. Trener zawsze motywuje nas do działania i dodaje nam otuchy. Jako drużyna mamy bardzo wysoką lokatę w Polsce. Nasza „spartańska załoga” mocno pracuje, by utrzymać ten wynik albo nawet wspiąć się jeszcze wyżej.

Niektórzy nie wiedzą, na czym polega trening pływaka i krytykują nas twierdząc, że to tylko „nabijanie kilometrów od ściany do ściany”. Kiedyś sama podobnie myślałam. Teraz wiem, że to nieprawda, ponieważ pływanie wymaga, jak inne dziedziny sportu, techniki i staranności, gdyż każde pociągnięcie pod wodą wygląda inaczej. Trenujemy codziennie od 5.50 do 7.30 i po południu od 15.20 do 17.00. Wymaga to poświęcenia czasu i determinacji, skupienia, poukładania, rezygnacji z wielu przyjemności i pogodzenia ze szkołą i nauką.

Na zawodach muszę sama wykazać się mądrością i ocenić swoje możliwości, wyliczyć, „na ile płynąć”, by wystarczyło mi sił i jak rozłożyć tempo w zależności od dystansu. Długoletnie doświadczenie nauczyło mnie, jak pływać na długich dystansach. Inaczej było z Julką, która preferowała dotychczas krótkie starty. Przyszedł ważny dzień w jej życiu, kiedy po wielu latach

trenowania zdecydowała się na dystans 800 metrów stylem dowolnym. Julka z wielką ekspresją opowiedziała mi o swoim starcie:

Pamiętam jak dziś ten wyścig. Zza okien pływalni padały promienie wakacyjnego słońca. Wskazówki zbliżały się do jedenastej. Sędzina zaczęła wyczytywać nazwiska do mojej serii. Teraz naprawdę się bałam. Lęk przed konfrontacją z innymi zawodnikami paraliżował mnie. Mimo to nie dawałam poznać po sobie o moich wewnętrznych obawach. Nie chciałam zawieść trenera, który we mnie wierzył. Bardzo bałam się porażki. Nie jestem w stanie powiedzieć, co się wtedy działo w mojej głowie! Taki mętlik, tyle myśli, emocji, analiz... W duchu sama sobie dodawałam otuchy, powtarzając non stop: – Julka dasz radę!!! I tak ciągle aż do momentu mojego startu. Nadeszła chwila prawdy. Nogi miałam jak z waty, dreszcze, gęsia skórka. Robię, co mogę, by się rozgrzać, jednak to nie przynosi większego efektu. Całe ciało drży, mam wrażenie, że nie panuję nad nim. Czułam, że czekam na wyrok. Wyrok co do tego, jak pracowałam na treningach przez całe moje „pływackie życie” i co zdołam zastosować w praktyce ze wskazówek trenera. Przeszliśmy z ciemnego korytarza pełnego stresu i strachu na nieckę pływalni. Woda lśniła i oślepiała swoim blaskiem. Na trybunach zgromadzeni tam kibicowali i gwizdali, zagrzewając do boju. Zaraz mój wielki start albo porażka. Mam mętlik w głowie. Ustanawiam się z pozostałymi zawodniczkami przy wyznaczonych torach. Moje przerażenie było prawie nie do opanowania. Zaczęłam się rozgrzewać i pobudzać mięśnie. Nadeszła ta chwila... Weszłam na słupek, komenda startowa: „Na miejsca!”. Staram się utrzymać ciało nieruchomo w pozycji

startowej, chyba zaraz zemdleję, czuję na sobie zaniepokojone oczy trenera. Ogarnia mnie cisza, wyłączam się, już nie słyszę żadnych dźwięków, hałasu z niecki, jestem tylko wyczulona na dźwięk startu. W rzeczywistości to moment, dla mnie nieskończoność... Wystartowałam. Łamię zimną taflę wody, mechanicznie wykonuję utrwalone ruchy pod wodą. Jeszcze nie potrafię w tej chwili myśleć, staram się uporządkować myśli, by mądrze popłynąć. Zimna woda przywraca trzeźwość myślenia, zaczynam panować nad własnym ciałem, przypominam sobie wszystko to, co mówił trener – każdy ruch musi być przemyślany, dokładny, uporządkowany... Staram się odtwarzać wszystko to, co trener włożył mi do głowy. Wiem, że teraz każdy ułamek sekundy jest bezcenny, płynę najszybciej, jak tylko potrafię. Pierwsze 100 m za mną. Widzę swoje rywalki... Słyszę zniekształcony przez wodę gorący doping rodziców, przyjaciół, trenera. Plusk wody i odgłosy zburzonej moimi ruchami wody nadają rytm i tempo pracy. Jestem jak w transie, nieustające odgłosy docierające do mnie układają się w melodię, która pomaga przetrwać ten, wydawałoby się wtedy, ponadludzki wysiłek. Powoli brakuje mi sił i mocy, jednak nie zwalniam, płynę dalej równo, zbliżając się do końca tego morderczego dystansu. Głos trenera pokrzepia mnie, orzeźwia i przywraca z letargu... jeszcze tylko ostatnie 50 m. Zaczynam przyspieszać. Moje nogi i ręce odmawiają posłuszeństwa, walczę sama z sobą. Ciało mówi: NIE! Ale wewnętrzna siła podpowiada: JULKA DASZ RADE, NIE PODDAWAJ SIĘ! Ostatnie 15 metrów! Widzę już ścianę końcową, trenera, który nerwowo wymachuje dokumentami i zagrzewa mnie do walki. Płynę ostatkiem sił. Jestem już prawie na finiszu. Teraz już nic nie czuję. Mam ciemno przed

oczami. Trudno złapać oddech... ślepo płynę naprzód, żeby tylko dotrzeć i dotknąć ściany... i zakończyć tę mękę. Ostatkiem tchu... kończę! Czas zatrzymał się! Jak się po chwili okazało, jest to bardzo dobry czas! Jestem mistrzynią na długim dystansie.

Sport wydobywa z nas zamknięte i ukryte głęboko możliwości. Jedynie upór, pokonywanie własnych słabości i możliwości może zadziałać cuda i spełnić moje olimpijskie marzenia... DOPÓKI WALCZYSZ, JESTEŚ ZWYCIĘZCĄ!

Maja Klejman

Presja

Moja opowieść nie należy do najprzyjemniejszych. Nie jest to historia wielkiego zwycięstwa i dumy z wygranej. Jest to historia o tym, jak marnowałam swoje życie do chwili, w której uświadomiłam sobie, że nie chcę i nie mogę dłużej tego robić. Duma moich rodziców jednak nigdy nie nadeszła.

Mam na imię Emilia. Nie wiem dokładnie, jakie są moje najstarsze wspomnienia, ale wiem, że na pewno są związane z gimnastyką. Od zawsze ją trenowałam. Nie z własnego wyboru, ponieważ kiedy zaczęłam, byłam za mała na podejmowanie decyzji. Podjęli ją za mnie moi rodzice. Mieli ambicję, że zostanę mistrzynią świata. Nie byłam zbyt rozciągnięta i tak naprawdę nie miałam predyspozycji do tego sportu, ale mimo to trenowałam. Nie byłam najlepsza w grupie, póki nie byłam w niej najdłużej. Większość dzieci szybko rezygnowało i zapisywało się na inne zajęcia.

Kiedy miałam siedem lat, moja trenerka powiedziała, że jestem gotowa na sekcję zawodniczą. Oczywiście dostałam się do niej bez problemu. Z roku na rok jeździłam na kolejne zawody. Czasem wygrywałam, a czasem nie. W końcu musiałam przejść na edu-

kację domową, ponieważ pogodzenie zwykłej szkoły z treningami, które trwały nawet sześć godzin dziennie, było już niemożliwe. Tak wyglądała moja rzeczywistość aż do pewnych wydarzeń, które miały miejsce, kiedy miałam około piętnastu lat.

Wcześniej moja codzienność była wypełniona rutyną. Wstawałam rano i uczyłam się około czterech godzin. Potem jadłam wczesny obiad i jechałam na trening, z którego wracałam dopiero w porze późnej kolacji. Jedynymi rówieśnikami, z którymi miałam kontakt, były dziewczyny trenujące gimnastykę w tym samym klubie co ja. Między innymi dlatego moje życie wydawało mi się takie, jak powinno być. Nie miałam innej perspektywy, a z tymi gimnastyczkami mało rozmawiałam. Bardzo ze sobą konkurowałyśmy, a nasze kontakty opierały się na wzajemnej „chorej” rywalizacji. Jeżeli już rozmawiałyśmy, to o tym, jakie mamy umiejętności, lub o tym, jak nam idzie nauka, która nie tylko w moim wypadku była domowa. Nazywałam te dziewczyny przyjaciółkami, gdyż to z nimi, poza moją rodziną, miałam jedyne relacje.

Pewnego dnia – właśnie wtedy, kiedy miałam około piętnastu lat – przyjechała do nas moja kuzynka, ponieważ jej rodzice mieli nagłe i ważne wyjazdy służbowe. Była w podobnym wieku do mnie, ale słabo ją znałam. Miała na imię Anna. Podczas jej pobytu znalazłam chwilę, aby z nią porozmawiać.

– Trenujesz gimnastykę. Jaki sport ty trenujesz? – spytałam.

– Właściwie to żaden, ale czasem jeżdżę na rowery. Bardziej niż sportem interesuję się dbaniem o wygląd, a szczególnie o włosy. Chciałabym zostać fryzjerką, ale nie jakąś znaną na cały świat, tylko pracującą w małym miasteczku – odpowiedziała mi Anna.

Jej odpowiedź mnie zszokowała. Wiedziałam, że nie każdy uprawia sport, ale sobie tego nie wyobrażałam. W dodatku moja kuzynka, mimo że miała jakieś zainteresowania, to nie chciała osiągnąć w nich mistrzostwa świata. To mnie bardzo zaintrygowało. Zaczęłam zadawać jej więcej pytań. Dowiedziałam się o tym, jak w weekendy spotyka się z przyjaciółmi na mieście, o tym, jak chodzi na imprezy (jedyne imprezy, na których ja byłam, to te, które wyprawiali mi rodzice za zdobycie kolejnego medalu lub drobne i nieliczne przyjęcia urodzinowe dziewczyn z gimnastyki) i o tym, jak chodzi do zwyczajnej szkoły i po powrocie z niej odrabia prace domowe, a potem odpoczywa.

Wiedziałam, że codzienność większości nastolatków tak wygląda, ale zobaczenie przykładu na własne oczy dało mi zupełnie nową perspektywę na życie. Marzyłam o tym, by zobaczyć, jak to jest. To się troszeczkę spełniło, ponieważ doświadczyłam czegoś nowego. Pewnego wieczoru moja kuzynka zajęła się moimi jasnymi, prostymi włosami. Zobaczyłam, jak pięknie wyglądam w innych fryzurach niż staranny prosty kok, który zawsze nosiłam. Anna ubierała się bardzo ładnie. Jedyne ładne ubrania, jakie miałam, to cztery uroczyste sukienki na wręczanie nagród. Poza tym w szafie miałam tylko trykoty na zawody, dresy i dwoje jeansów, bluzy, t-shirty oraz krótkie spodenki w kompletach z topami na treningi.

Było mi bardzo smutno, kiedy dziewczyna wyjechała. Musiałam wrócić do normalnego życia.

Za dwa tygodnie miałam zawody. Dostałam się już do drugiego etapu ogólnokrajowych zawodów, wiedziałam, że jeśli go przejdę, to będę o krok od mistrzostwa kraju. Moich rodziców niezmiernie by to ucieszyło, ale nie będą w pełni zadowoleni, póki nie zostanę

mistrzynią świata. Trenowałam coraz trudniejsze akrobacje. Razem z trenerką opracowałam już układ na najważniejsze zawody. Czułam się jednak zmęczona i smutna. Myślałam o tym, jak żyje Anna. Ja nawet nie mogłam sama pójść na trening. Mama wszędzie mnie wozila. Bała się, że zrobię sobie krzywdę i nie będę mogła dalej ćwiczyć. Myślałam o tym, jak nie chcę zawieść rodziców, więc w dniu zawodów dałam z siebie wszystko. Zajęłam drugie miejsce i przedostałam się do finału. Moi rodzice jednak nie byli zadowoleni.

– Co to miało być? Dlaczego nie zdobyłaś pierwszego miejsca? Miałas dać z siebie wszystko – tata zaczął dyskutować w drodze do domu.

– Dałam z siebie wszystko. Wiem, że drugie miejsce to nie samo co pierwsze, ale i tak jestem w finale – próbowałam spokojnie wyjaśnić, choć wewnątrz płonęłam ze wstydu.

– Po pierwsze: nie dałaś z siebie wszystkiego. Widziałam, jak się zachwiałaś po skoku szpagatowym. Każdy to widział. Po drugie: może jesteś w finale, ale drugie miejsce daje ci o wiele mniejsze szanse na wygraną niż pierwsze – odpowiedziała mi mama.

– Ta twoja kuzynka źle na ciebie wpłynęła. Wiem, że jej „niby-zainteresowania” wydają ci się wspaniałe, ale ona nie ma przed sobą przyszłości i możliwości bycia sławną. Masz się starać bardziej! Za godzinę jedziemy na trening. Możesz zjeść obiad, ale nie za duży. Musisz być szczupła, aby być najlepsza – oświadczył mój ojciec.

Codziennie czułam presję ze strony rodziców i trenerki. Zaczęłam zauważać dużo nieprawidłowości w swoim życiu. Na przykład: zawsze miałam zakwasy, ale byłam do nich przyzwyczajona, a teraz bardzo silnie je czułam. Zawsze, kiedy obolała kładłam się spać,

myślałam o tym, jak to by było żyć „zwykłym” życiem. Chciałam chociaż móc jeździć na rowerze. Wstyd mi było się do tego przyznać, ale wtedy nie umiałam tego robić.

Pewnego dnia, a raczej wieczora, moja trenerka po długim treningu powiedziała, że chciałaby porozmawiać z moją mamą. Zawołałam ją, a sama poszłam do szatni. Nie zaczęłam się przebierać. Chciałam podsłuchać ich rozmowę zza drzwi.

– Nie wiem, o co chodzi, ale coś jest ostatnio nie tak z pani córką. Ma bardzo niską motywację do ćwiczeń. Wydaje się przygnębiona. Za mało się skupia na treningu. Proszę coś z tym zrobić. Martwię się, że jej zachowanie będzie miało wpływ na wynik – wyjaśniła mamie trenerka, a ja od razu zaczęłam się bać.

Wiedziałam, jakie piekło będzie mnie czekało w domu. Byłam o krok od popłakania się, ale moje oczy były suche. Wiedziałam, że mama zauważyłaby, że płakałam, a wtedy byłabym jeszcze w o wiele gorszej sytuacji.

– Dobrze, porozmawiam z nią – odpowiedziała mama i wyszła.

Teraz byłam pewna, że będzie źle.

Wolę nie opisywać tamtego wieczoru. Był zbyt traumatyczny. Następnego dnia poszłam na trening z zamiarem poprawienia się. Dawałam z siebie wszystko. Rozpędziłam się, żeby zrobić pewną akrobację. Potknęłam się. Upadłam. Popłakałam się z bólu. Niesamowicie bolała mnie lewa kostka. Trenerka szybko do mnie podbiegła i zadzwoniła po pogotowie. W szpitalu okazało się, że skręciłam lewą kostkę. Kiedy moi rodzice dowiedzieli się, że przez ten uraz nie będę mogła ćwiczyć przynajmniej miesiąc, jeśli nie dłużej, zezłościли się na mnie.

– Dobrze wiem, że to przez to, że za mało przykładasz się do ćwiczeń – powiedziała mama. – To idealny dowód na to, że twoja trenerka miała rację. Za mało się skupiała i widzisz, co się stało – dodała.

– Mistrzostwa są za pół roku, a ty z tego całego czasu na przygotowania stracisz aż miesiąc. Wystarczyło już, że w poprzednich zawodach zdobyłaś tylko drugie miejsce, a teraz coś takiego – stwierdził tata.

– Dajemy ci jedzenie, ubrania, czasem prezenty. Masz własny pokój. Pomagamy ci w spełnianiu marzeń, a ty tak nam się odwdzięczasz – mama wzbudzała we mnie wyrzuty sumienia.

Wówczas nie wytrzymałam i popłakałam się. Z moich oczu polały się szczere, mokre i bardzo słone łzy. Nie do końca wiedziałam, dlaczego płaczę, ale wiedziałam, że powód istnieje. Nie wiedziałam, że płacz przynosi taką ulgę. Rzadko kiedy płakałam, a jeśli już to z błahych powodów, gdy na przykład coś mi nie wychodziło. Mimo że rodzice na mnie podnosili głos, czułam się lepiej. Wylałam swoje emocje i to mnie cieszyło... Płacz był oznaką żalu, ale też przyczyną szczęścia. Dawał poczucie wolności i swobody. Byłam sobą. Nie udawałam. Byłam zadowolona, mimo że z moich oczu wydobywały się skutki zdruzgotania... Nie chodziłam na treningi przez półtora miesiąca i był to najlepszy okres w moim życiu. Moje zazwyczaj obolałe ciało mogło odpocząć. Tylko w kostce był ból! Tylko ze strony opiekunów doznawałam przykrości. Po upływie miesiąca mama zaczęła mieć pretensje. Nie tylko do mnie, lecz także do lekarza. Po jednej z wizyt rzekła:

– Ile ten lekarz każe tobie jeszcze odpoczywać! Czy on nie rozumie, że mamy ważniejsze sprawy na głowie? Gdybyś była bardziej odpowiedzialna, nie nudziłabyś się tak w domu.

Mama nie miała w tej sprawie racji. Wcale nie czułam nudy. Czułam się idealnie. Gdy tylko ignorowałam głupie wypowiedzi rodziców, przeżywałam perfekcyjne chwile. Skupiłam się bardziej na nauce, którą zawsze uwielbiałam, w przeciwieństwie do większości uczniów. Czytałam ciekawe książki. Nawet udało mi się w sekrecie lepiej poznać media społecznościowe. Wiedziałam, że gdyby rodzice się dowiedzieli, miałabym duże problemy. Tak naprawdę miałam wielkie marzenie, które wiedziałam, że się nie spełni. Chciałam skończyć z gimnastyką. Chciałam być wolna...

Kiedy wróciłam na zajęcia, jedna z dziewczyn, która też przedostała się do mistrzostw, zwróciła się do mnie w szatni.

– Współczuję ci. Opuściłaś tyle treningów. Pewnie o wiele trudniej będzie ci wygrać – powiedziała.

Pozornie nie wydawało się to nieuprzejme, ale takie było. Słyszałam ironię w jej głosie. Odpowiedziałam tylko, że wezmę się za ciężką pracę i może mi się poszczęści. Powrót nie był łatwy. Proste ćwiczenia sprawiały mi trudność. Nie wiedziałam czy to przez samą przerwę, czy dlatego, że właściwie nie miałam na nie chęci. Podejrzewałam, że przez oba czynniki. Patrzyłam na zegar i odliczałam czas do końca treningu, dając z siebie absolutne minimum.

Na zakończenie trenerka kazała nam posłuchać, co ma do powiedzenia. Okazało się, że gimnastyczki, które zajmą pięć pierwszych miejsc w mistrzostwach, będą w reprezentacji kraju. Moje rówieśnice były bardzo podekscytowane, ale ja czułam się, jakbym dostała pięścią w brzuch. Było mi niedobrze. Cała pozieleniałam i oblałam się potem. Wiedziałam, co mnie czeka w domu. Wiedziałam, jakie męczące będą przyszłe miesiące.

Rodzice byli jeszcze bardziej podekscytowani niż dziewczyny. Powiedzieli, że mam zostawać o jedną godzinę dłużej na sali, aby być lepiej przygotowaną. Zauważyli, że nie jestem zbyt zadowolona.

– Dlaczego się nie cieszysz, Emilio? To dla ciebie wielka szansa. Spełnisz swoje marzenia – zapytała mama.

Chciałam jej powiedzieć, że to nie są moje marzenia, ale ich – rodziców, że może ja wcale nie mam ochoty być najlepsza, ale powiedziałam tylko, że się cieszę i że po prostu jestem zmęczona po intensywnym treningu, a potem poszłam do łóżka.

Długo nie spałam. Myślałam o tym wszystkim. Nie chciałam dłużej tak żyć. Nie chciałam, ale dla moich rodziców to był jedyny możliwy sposób na życie. Czy w takim razie powinnam być...?

– Nie – pomyślałam. Na razie nie... Spróbuję coś wymyślić. Zobaczę, co z tego wyjdzie.

Następnego dnia wstałam wcześniej. Zeszłam na śniadanie przed rozpoczęciem nauki. Byłam bardzo zaskoczona, kiedy zauważyłam swoją torbę treningową już spakowaną. Przecież na treningi jeździłam dopiero kilka godzin po obudzeniu się.

– Mamo, dlaczego moja torba jest spakowana? – zapytałam.

– Zaraz wychodzimy. Będiesz teraz wcześniej zaczynała, jeszcze przed świtem – odpowiedziała.

Nie chciałam jechać, ale pojechałam. Po drodze myślałam o tym, jak bardzo wyczekuję końca tej męczarni. Jak bardzo chcę odpocząć od bólu. Wysiadłam z auta. Przechodziłam przez alejkę na parkingu. Zobaczyłam światła samochodu...

Minął rok, od kiedy potrąciło mnie auto. Po wypadku leżałam w szpitalu przez kilka tygodni. Miałam

w kilku miejscach złamaną rękę i w dwóch miejscach nogę. Na tyle mocno, że spełniło się moje największe marzenie – nie mogłam już dłużej trenować.

Nie mieszkam już z rodzicami. Na razie nie. Moja ciocia i mój wujek – rodzice Anny, zaproponowali, abym z nimi zamieszkała – tak długo jak zechcę. Uważają, że ja i moi rodzice powinniśmy od siebie odpocząć. Teraz jestem szczęśliwa. Chodzę do normalnej szkoły. Mam prawdziwych przyjaciół, a nawet chłopaka! Nauczyłam się jeździć na rowerze i bardzo to polubiłam. Moje doświadczenia nie zniechęciły mnie całkowicie do sportu. Mimo wszystko nadal jestem sobą zawiedziona. Nie uszczęśliwiłam moich rodziców. Już nigdy ich nie zadowolę. Nie będę taka, jak chcą, abym była. To mnie zasmuca, ale staram się żyć dalej...

Marianna Królicka

Woda – mój żywioł

*Życie ludzkie to jakby olbrzymie zawody sportowe,
których jesteśmy zarówno uczestnikami, jak i widzami.*

Antoni Gołubiew

Jeden skok zmienia wszystko. W ułamku sekundy jestem pod wodą, w zupełnie innym wymiarze przestrzeni. Skupiam się na oddechu, ruchu, wynurzam głowę nad powierzchnię wody i zaczynam płynąć.

– Dawaj, dawaj! – słyszę głos trenera. Raz głośny, dopingujący, za chwilę stłumiony, dochodzący znad powierzchni wody, a może tylko wybrzmiewający w mojej głowie.

Skupiam się na ruchu, oddechu. Jestem świadoma każdego wdechu i wydechu. Kontroluję każde napięcie mięśni, ułożenie ciała, rytmiczne ruchy rąk i nóg. Jestem w swoim żywiole.

Kocham uczucie poruszania się w wodzie. Od zawsze było to dla mnie naturalne. Uwielbiałam słuchać rodziców, którzy opowiadali mi, kiedy pierwszy raz wzięli mnie na basen.

Byłam czteromiesięcznym bobasem, który zanurzony do wody nie płakał, a od razu potraktował to jako

dobrą zabawę. Cieszę się, że woda nie budzi we mnie lęku, ale szacunek. Pływanie jest dla mnie naturalne, pozwala mi poznać swój organizm z zupełnie innej strony, a mianowicie możliwości ludzkiego ciała. Na co dzień nie myślę, że oddycham, poruszam ręką czy nogą, po prostu poruszam się automatycznie. Sport i wysiłek sprawiają, że zaczynam dosłownie czuć, że żyję.

– Wyżej głowa, Marianna! – usłyszałam głos trenera.

– Jeszcze jedna długość! Gotowa? Start!

Szybkie odbicie i już płynęłam delfinem, moją ulubioną techniką.

– Zmieściłaś się w czasie! Gratulacje! Jedziesz na zawody! – usłyszałam pełen entuzjazmu głos trenera.

– Co takiego? – nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Ucieszyłam się, ale nigdy nie myślałam o zawodach, rywalizacji, zdobywaniu medali. Oczywiście Kocham pływanie, jest to część mojego życia, ale ścigać się, kto pierwszy?! Nie byłam przekonana.

Odkąd pamiętam, zawsze lubiłam ruch i aktywne spędzanie czasu. Bieg zamiast spokojnego spaceru, jazda na rowerze do szkoły zamiast podróży autobusem, ale nigdy nie myślałam, aby udowodniać, że jestem lepsza od innych.

– Mamo! – krzyknęłam po powrocie z basenu – trener powiedział, że jadę na zawody pływackie.

– Świetna wiadomość – odpowiedziała radośnie mama.

– Przecież wiesz, że nie lubię się ścigać – odburknęłam.

– Powinnaś robić to, w czym jesteś dobra. Jeśli nie chcesz się ścigać z innymi, potraktuj zawody jak wyścig z samą sobą.

Rada mamy dała mi do myślenia....

W dniu zawodów czułam to samo co zawsze – radość, że znowu wskoczę do wody i będę płynąć. Wydarzenie miało miejsce na tej samej pływalni, na którą chodzę co dzień. Po prostu pójdę jak na trening, pomyślałam. Kiedy byłam już blisko, poczułam, że serce bije mi mocniej. Pływalnia nie przypominała miejsca, które znałam. Muzyka, dekoracje, tłum uczestników, kibice, w tym rodzice, na trybunach, całość tworzyła atmosferę wielkiego wydarzenia. Co innego być widzem takich imprez, a co innego brać w nich udział. Poczułam, że budzi się we mnie duch walki.

– Marianna, jesteś gotowa? Za chwilę wchodzisz – usłyszałam głos trenera. Patrzył na mnie z uznaniem i spokojem. Poczułam, że jestem gotowa stawić czoło samej sobie, ale też ogarniającej mnie tremie.

– Marianna! Marianna! – usłyszałam chór dopingujących mnie kolegów i koleżanek.

W tym właśnie momencie poczułam, że w sporcie nie chodzi tylko o siebie samego. Byłam otoczona ludźmi, którym na mnie zależało, którzy mnie wspierali. Poczułam, że mogę na nich liczyć w każdej sytuacji. Poczułam wzruszenie i jednocześnie wielką moc.

– Start! – usłyszałam gwizdek, a następnie wszystko potoczyło się błyskawicznie. Skok, zanurzenie, wynurzenie. Płynęłam jak szalona, chciałam dać z siebie wszystko. Krzyk, doping i stłumione dźwięki pod wodą. Niesamowite uczucie zespolenia z otoczeniem. Miałam wrażenie, że wszystkie moje zmysły pracują na najwyższych obrotach. Nie tylko płynęłam delfinem, ale czułam się delfinem, a każdy wyskok był jak przeskok przez olimpijskie koło. Aplauz był coraz głośniejszy. Dotknęłam krawędzi basenu.

– Byłaś świetna – powiedział z uznaniem trener. Szczęśliwi rodzice właśnie się zbliżali w moją stronę.

– Czwarte miejsce to wspaniały wynik jak na pierwsze zawody – powiedział tata.

– Bycie tu dzisiaj jest warte każdego miejsca – odpowiedziałam. Czułam się szczęśliwa bez względu na wynik, bliski a zarazem daleki od podium. Zyskałam radość z rywalizacji z samą sobą. Dla mnie wszyscy uczestnicy powinni mieć miejsce na podium. Z drugiej strony, jak nigdy wcześniej zrozumiałam, jak ważne jest pokonywanie własnej słabości i bycia częścią sportowej społeczności.

– No i jak, Marianna? Przyłożysz się do kolejnych zawodów? – prowokacyjnie zapytał trener. – Widzę cię na podium – dodał.

– Jasne! – odpowiedziałam. W tym momencie poczułam dreszcz emocji. Czyżby obudził się we mnie duch rywalizacji nie tylko z samą sobą...?

Nel Kuczaj

Stawiam na pasję!

Podejście pod górę. Slalom. Zjazd. Ile to już trwa? Sekundę, minutę, godzinę? A może nawet dzień lub miesiąc? Nie odczuwam już bólu. Kolejny slalom, uczucie ciągłej obserwacji nie opuszcza mnie na krok.

– Skup się na drodze! – skarciłam się w myślach.

Czerwone flagi, oznaczające upragniony koniec, są zbawieniem dla mojego wyczerpanego ciała. Tłum ludzi otaczający tor dzieli się na dwie grupy: tych, co skaczą z radości, i tych, którzy stoją z grymasem na twarzy. Nim się obejrzałam, moje narty przekroczyły linię mety. Znów pierwsza! Szum szusujących po śniegu nart zagłusza okrzyki szczęścia tych, którzy mi dopingują, jak i niezadowolenia tych, którzy obserwują porażkę swoich faworytów. Mam wrażenie, że wszystko dzieje się tak szybko. Czas postanawia zwolnić dopiero wtedy, gdy po wyostrzeniu wzroku dostrzegam idącą w moim kierunku postać. To wysoki, wysportowany mężczyzna w średnim wieku. Jego mina nie wyraża nic innego oprócz pewności siebie i pewnego rodzaju dumy. Mój tata i trener (w jednej osobie) przystanął w odległości czterech metrów ode mnie i krzyknął w moim kierunku:

– Dobry czas, ale mogłaś się bardziej postarać! Ta Szwajcarka prawie cię wyprzedziła!

Szczęście spowodowane wygraną zniknęło tak szybko, jak się pojawiło, zamieniając się w lekkie rozczarowanie. Dziewięć lat. Tyle już trwa moja przygoda z jazdą na nartach, a od roku kojarzy mi się tylko z utrapieniem, nieprzespanymi nocami i ciągłym stresem. Zaczęłam trenować, gdy miałam sześć lat. Zachęcił mnie do tego mój tata, który pasjonował się tym sportem od wczesnej młodości. Na początku podzielałam jego entuzjazm, szybko nauczyłam się jeździć na nartach. Już po pierwszych sześciu miesiącach intensywnych treningów byłam jedną z najlepszych młodych narciarek w naszym regionie. Potem wszystko potoczyło się jak lawina: zawody, wygrane, coraz cięższa praca, większa presja. Nieraz udało mi się zakwalifikować do ogólnopolskich zawodów, co skutkowało niemal codziennymi całodziennymi treningami. W wieku piętnastu lat byłam zdobywczynią trzech różnych medali w zjazdach narciarskich juniorów (dwóch złotych, jednego srebrnego). Przyniosło mi to sławę na całą Polskę, ale również był to czas najgorzej wspomnianych przeze mnie chwil, ponieważ to wtedy tata po raz pierwszy skrytykował moją pierwszą przegraną.

Z rozmyślań wyrwał mnie głos starszego pana wygłaszającego przez megafon przemowę, podczas której dziękował wszystkim za uczestnictwo w zawodach i gratulował uczestnikom sukcesów. Po ponad godzinnym wystąpieniu, podczas którego moje powieki mimowolnie się zamykały, pan Damian, bo tak miał na imię przemawiający, wolnym krokiem udał się w stronę podestu, na którym stałam wraz z dwoma innymi uczestniczkami tegorocznych zawodów. Założył na moją szyję złoty medal (trzeci do kolekcji), czyniąc

charakterystyczne skinienie głową, które od razu odwzajemniłam, bowiem oznaczało uznanie i gratulacje zarazem. Po rozdaniu reszty medali i dyplomów oraz krótkim zakończeniu turnieju wszyscy rozeszli się w różne strony.

Gdy weszłam do auta, moje ciało ogarnęła fala zmęczenia. Resztkami sił chwyciłam butelkę wody i wypilałam niemalże całą jej zawartość. Ryk silnika spowodował, że spojrzałam w stronę kierowcy. Jego krótko przyszyryżone blond włosy wystawały zza oparcia fotela. Wzrok mężczyzny skupiony był na ośnieżonej drodze. Zdawałam sobie sprawę, że rozmowa, do której przygotowywałam się od paru miesięcy, nastąpi prędzej czy później, ale mimo to chciałam ją maksymalnie odwlec w czasie. Od najmłodszych lat starałam się być idealną córką, mieć dobre oceny. Zależało mi, aby rodzice byli ze mnie dumni. Teraz moje wyznanie miało przekreślić plany ojca na moją idealną przyszłość, a uczucie, że go zawiodę, łamało mi serce na drobne kawałki. Jednak przychodzi taki moment w życiu każdego człowieka, w którym musi zdecydować o swojej przyszłości. Czy chce spełniać marzenia i realizować cele, które od dłuższego czasu kielkują w jego głowie, czy może żałować do końca życia braku odwagi podjęcia ryzyka. Ja postanowiłam posłuchać głosu serca i osoby, która już na zawsze w nim pozostanie.

– Tato, moglibyśmy o czymś porozmawiać? – zapytałam niepewnie.

On jednak milczał i wpatrywał się w drogę. Cisza wywołała strach, który sparaliżował moje ciało i umysł w takim stopniu, że nie potrafiłam nawet wyjąkać kolejnego słowa.

– Czy zrobiłam coś złe? – zastanawiałam się w myślach.

Panujące milczenie było nie do wytrzymania, a czas dłużył się niemiłosiernie. Oznaką, że w samochodzie znajdowała się jakaś żywa dusza, a nie manekin, było ciężkie westchnienie mężczyzny. Gdy znaleźliśmy się na rozwidleniu dróg, pojazd zamiast skręcić w stronę, która prowadziła do mojego domu, ruszył w przeciwnym kierunku. Zdezorientowana spojrzałam na tatę, który wyglądał na bardzo zdeterminowanego, aby dojechać do celu. Gdy asfaltowa droga skończyła się, auto zjechało na polną dróżkę. Wtedy dopiero zorientowałam się, gdzie jedziemy. Momentalnie ogarnęła mnie wielka tęsknota. Spadające z nieba śnieżynki przypominały mi pierze, które niegdyś unosiło się nad łóżkiem mojej mamy, gdy przez przypadek pękła poduszka, którą rzucaliśmy w siebie, przekomarzając się, która z nas ma przygotować śniadanie. Towarzyszące tej scenie uśmiechy mogłyby rozświetlić nawet najgłębszy mrok.

Wspomnienie mamy na chwilę oderwało mnie od obserwowania tego, co widziałam zza okna samochodu. A tam biały puch przykrywał coraz grubszą warstwą drewniany płot ciągnący się wzdłuż drogi po mojej prawej stronie. W oddali znajdowało się dużych rozmiarów zamrznięte jezioro. Samochód zatrzymał się na niewielkiej polanie, którą z każdej strony otaczały wysokie świerki. Po wyjściu z auta poczułam dotkliwy chłód, przez co jeszcze szczelniej owinęłam wokół szyi wełniany szal. Bez zastanowienia ruszyłam za mężczyzną, który znajdował się kilka metrów przede mną. Po krótkim spacerze, podczas którego żadne z nas się nie odezwało, doszliśmy do dobrze znanego mi miejsca. Była to pusta przestrzeń przykryta śniegiem, na której środku rosła piękna, stara wierzba. Mój wzrok skierował się w stronę huśtawki zawieszanej

na najgrubszej gałęzi, na której nieraz zasiadałam po wygranych zawodach i opowiadałam Jej wszystko ze szczegółami. Tata zajął miejsce na znajdującej się niedaleko ławce. Przez krótką chwilę trwalśmy w ciszy, lecz nie była ona krępująca. Przypominała raczej jedną z tych, w której każde z nas musiało uporządkować własne myśli. Wiedziałam, że moglibyśmy tak przesiedzieć wieczność, bo nieraz tak robiliśmy po Jej śmierci, ale musiałam mieć już to za sobą.

– Tato, chciałabym... – zaczęłam, jednak nie było dane mi dokończyć.

– Chcesz zrezygnować z jazdy na nartach – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Jego oczy spotkały się z moimi. Zaczął uśmiechać się tak, jakbym zrobiła coś śmiesznego. Zapewne rozbawił go widok mojej zaskoczonej miny na dźwięk słów, które przed chwilą wypowiedział. Jednak mój zdziwiony wyraz twarzy nie był spowodowany tym, co powiedział, lecz w większym stopniu widokiem jego oczu, które wyrażały zrozumienie i brak śladu jakiegokolwiek gniewu czy rozczarowania.

– Nie rozumiem... Nie jesteś zły? Wiedz, że nie zamierzam zupełnie zrezygnować z nart. Chciałabym tylko skończyć z rywalizacją i zawodami. W ogóle nie sprawiają mi frajdy! Cały czas muszę coś sobie i komuś udowadniać. To wszystko sprawia, że pasja staje się mniej ważna, a tak nie powinno być! – nieschodzący z twarzy ojca uśmiech spowodował, że mój umysł zalała fala pytań, na które nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi, dlatego wpadłam w taki słowotok.

– Oczywiście, że nie, córeczko. Nie da się ukryć, że wolałbym, aby twoja kariera narciarska rozwijała się nadal. Jeżeli jednak nie sprawia ci ona przyjemności, nie daję satysfakcji, szanuję twoją decyzję i chcę cię

wspierać we wszystkim nawet wtedy, gdy zdecydujesz się na pracę w oceanarium – stwierdził żartobliwie, by rozładować napięcie.

Zaśmiałam się szczerze na wspomnienie wizyty w morskim zoo cztery lata temu, kiedy to tata prawie wpadł do ogromnego akwarium z delfinami. Gdyby nie hydrofobia, z którą musiał zmagać się od dzieciństwa, wydarzenie to nie zakończyłoby się żadną katastrofą. Niestety, nikt z nas nie potrafi przewidzieć reakcji drugiej osoby na nietypową sytuację. Właśnie dlatego ja i moja mama wpadłyśmy w osłupienie, kiedy to zwykle spokojny mąż i ojciec zaczął robić aferę na całą recepcję o rzekomą „próbę morderstwa”.

– Spokojnie, nie będę nadwerężać twojego zdrowia, staruszk.

– Ej, nie jestem aż taki stary! – wypowiedziane przez tatę zdanie z udawanym oburzeniem sprawiło, że moja twarz rozkwitła szczerym uśmiechem.

– Dziękuję – szepnęłam po krótkiej chwili ciszy.

– Kochanie, nie dziękuj mi, tylko bądź z siebie dumna! To wszystko, czego dokonałaś, co osiągnęłaś, jest twoją zasługą. Robiłaś to dla siebie, nie dla mnie. Jeśli przestało dawać ci frajdę, to najwyższa pora na rezygnację.

– Myślisz, że mama byłaby ze nie dumna? – zapytałam łamiącym się głosem, szybko mrugając rzęsami, aby pozbyć się łez, które niezauważenie znalazły się pod moimi powiekami. To niesamowite, jak nasz humor może się zmienić w ciągu niespełna sekundy.

– Anastazjo – ojciec wstał z huśtawki, usiadł obok mnie i uniósł mój podbródek, aby wzrok, który utkwiałam w sznurowadłach butów, spotkał się z jego spojrzeniem – jesteś najcudowniejszą i najbardziej ambitną osobą, jaką kiedykolwiek znałem. Masz ogromne

serce i troszczysz się o innych. Twoja mama darzyła cię ogromną miłością, podziwiała cię za wszystko, co robisz i żadna podjęta przez ciebie decyzja nie mogłaby sprawić, żeby coś zmieniło jej zdanie na twój temat – mówiąc te słowa, starł kciukiem z mojego policzka łzę wzruszenia, która niezauważanie spłynęła w stronę ust.

I tak pogrążeni w błogiej ciszy cieszyliśmy się, że mamy siebie nawzajem i dziękowaliśmy za Anioła, który strzeże nas przed złem tego świata. Kiedy znów razem spojrzeliśmy na wierzbę, każde z nas odtworzyło w pamięci wspomnienia wspólnie spędzonych chwil wtedy, gdy byliśmy tutaj we troje. Chyba oboje w tym momencie pomyśleliśmy, że nadal stanowimy udane trio.

Michał Pawłowski

Zbyt niski na marzenia?

Zacznijmy od tego, że jestem tym samym chłopcem co rok temu. Takim, wiecie, który lubi wspinać się na drzewa i biegać za piłką. Jestem też nadal mocno wkręcony w treningi siatkówki. Pamiętacie? Rok temu wam opowiadałem, jak bardzo kocham ten sport. Tylko coś się chyba zmieniło. Wygląda na to, że siatkówka przestała kochać mnie...

Moje podejrzenie na temat tego, że siatkówka powoli przestaje mnie akceptować, coraz mocniej do mnie trafia. Pomimo tego że robię wszystko, co leży w moich możliwościach, aby być jednym z tych najlepszych, nic nie mogę zdziałać. Wygląda na to, że od pewnego czasu brakuje mi co najmniej kilkunastu centymetrów.

Tak, od tego sezonu – sezonu młodzika – jestem zwyczajnie za niski.

Nagle wszystko jest dla mnie trudniejsze do osiągnięcia. Nieważne, że moją technikę wciąż bardzo chwalą trenerzy i obserwatorzy. Co z tego, skoro więcej zaczęli znaczyć w grupie chłopcy ze słabszą techniką, ale wysokim wzrostem. Ja mogę liczyć jedynie na pozycję libero. Nie satysfakcjonuje mnie ona absolutnie.

Nie po to przez lata ćwiczyłem różne sposoby zagrywki i czuję się w tym elemencie bardzo dobry. Nie po to wciąż staram się podciągnąć swój wyskok, aby utknąć na pozycji, gdzie wymienione elementy zupełnie nie są potrzebne. Nawet nauczyłem się najścia do wysokości ze słabszej nogi. Wspominałem wam, że mam skrzyżowaną lateralizację?

Jestem praworęczny i lewonóżny. Multum czasu poświęciłem, aby przestawić sobie w mózgu, że za nic nie wolno mi zaczynać najścia od silniejszej nogi. Udało się. Dla chcącego nie ma nic niemożliwego.

Tylko po co? Po co te wysiłki?

Nie chcę być libero...

Nie pociąga mnie rotacyjne wchodzenie na boisko i kicanie gdzieś za plecami kolegów.

Przyznam się wam, że jest mi bardzo, bardzo przykro. Mam podobno wszystkie cechy dobrego przyjmującego, ale nim nie będę, bo jestem niski. Momentami mnie to dobija.

Zaczynam się coraz częściej zastanawiać, czy to był dobry pomysł, abym po czterech latach trenowania hokeja na lodzie porzucił go dla siatkówki.

Tam byłbym tym zwinny, szybkim, a wzrost nie grałby żadnej roli. Wiem to!

Ale zakochałem się w siatkówce i poszedłem za sercem.

Młody jeszcze jestem i nie znam się, ale podobno tak samo jest z miłością do dziewczyny.

W klubie mam bardzo dobrą kadrę trenerską, co wiele razy mi powtarzano, choć sam doskonale o tym wiem. Mój ulubiony trener od niedawna wie o moich „centymetrowych” żalach, bo za namową pewnego niesamowitego sportowca Jerzego Górskiego (Double

Ironmana, którego spotkałem przed moimi pierwszymi zawodami duathlonowymi), odważyłem się z nim porozmawiać.

Pan Jerzy, który rozmawiał ze mną jak z równym sobie sportowcem, skupił się w naszej rozmowie właśnie na moich rozterkach. Po ojcowsku wypytał o problem i powiedział:

– Michał, czy ty masz zaufanie do swojego trenera? Jeśli tak, to podejdź do niego po treningu i powiedz mu to wszystko, co cię trapi. Szczerze. Dobry trener zrozumie. To nie musi być trener twojej grupy. Zgłoś się do takiego, któremu ufasz. Pamiętaj, że masz prawo pytać, masz też prawo zgłosić problem. Czegoś nie czujesz, czegoś nie rozumiesz, idź do trenera. To ważne, abyś wszystko, co robisz, robił dla siebie. Dla siebie trenujesz, dla siebie zmuszasz mięśnie do wysiłku, dla siebie spędzasz czas na hali, a nie na zabawie. To twój wybór, więc ze swoim wyborem musisz czuć się dobrze...

I tak zrobiłem. Poszedłem do trenera i powiedziałem, że czuję się źle z tą moją fizyczną niemocą.

Nawet powiedziałem, że jest mi przykro i źle się czuję sam ze sobą na tym etapie trenowania, na jakim obecnie jestem (czyli po prawie sześciu latach).

Tak, nie czuję się już tym sportowcem, którym byłem. Ani tym, do którego dążyłem, żeby być – a uwierzcie, że dużo wkładałem i wkładam pracy w samorozwój pomiędzy treningami. Biegam, by być szybszy, pływam, by poprawić wydolność, a także zrelaksować mięśnie i barki, jeżdżę na rowerze, by wzmocnić nogi, i oczywiście odbijam, odbijam, odbijam tę piłkę, którą kiedyś kochałem, a teraz...

Trener bardzo mnie wspiera. Nawet w meczach poza ligą młodzika (tam jestem libero) ustawiał mnie na pozycji przyjmującego, co sprawiało mi wielką

frajdę. Dawał mi tym znak, że ma do mnie zaufanie również na tej pozycji. No i cały czas tłumaczy uparcie, że jestem jeszcze być może przed główną fazą wzrostu. Prosi, żebym się nie martwił, czekał i był cierpliwy.

Ale trener to jedno a koledzy drugie....

Mam w grupie świetnych chłopaków. Lubię się z nimi spotykać, trenować i wygłupiać w szatni.

No, ale nie wszyscy są tacy świetni...

Są i tacy, którzy są dwulicowi. Lubią żartować sobie i szydzić z mojego mizernego wzrostu. Dopóki byli ode mnie wyżsi o 10 cm, traktowali mnie normalnie. Na boisku byliśmy jak bracia. Po wakacjach różnica wzrostu urosła do 23 cm i stałem się dla nich niepotrzebny na parkiecie. Według nich tylko przeszkadzam, bo jestem za niski. Nie zaatakuję, nie zablokuję. Zawadzam jak nic!

No właśnie – ten WZROST! Czy ja cały czas o nim mówię? Tak, wiem, ale przy nim się na chwilę zatrzymamy. WZROST to jest w tej chwili jedyne, co nasuwa mi się, kiedy chcę opisać siebie w swojej ulubionej dyscyplinie sportowej. Może przynudzam, ale...

Jeszcze rok temu pisałem, że mam 161 cm wzrostu. Byłem pełen nadziei, że w wakacje sporo urosnę przed ligą młodzików. Jednak przez rok nie dorosłem nawet do 170 cm, ponieważ obecnie mam 166 cm. Nie czuję się z tym za dobrze. Między innymi dlatego że, jak już mówiłem, czasami jestem obiektem kpin wyższych zawodników. Nie chcę ich wymieniać po imieniu, więc to zachowam dla siebie, ale jeden z nich szczególnie lubił mówić na mnie różne przykre rzeczy. Na przykład:

– On płacze na boisku, a ma 12 lat, no nie mogę, ha ha.

Żebym jeszcze płakał – to była zwykła sportowa złość na siebie.

Gdyby ten złośliwiec mógł w końcu zrozumieć, że płkanie, a zbyt duża niemoc i duszenie w sobie negatywnych emocji po nieudanej akcji indywidualnej – to jest co innego, kupiłbym mu pokojową nagrodę Nobla.

Otylia Jędrzejczak powiedziała kiedyś: „Nienawidziałam przegrywać, zostało mi to do dzisiaj (...), ale myślę, że to dobra cecha dla sportowca – przecież gdyby porażki po mnie spływały, oznaczałoby, że sport nie ma dla mnie znaczenia (...)”.

Muszę mu to chyba wydrukować i wrzucić do treningowej torby.

Fakt, oczywiście mogę nad sobą pracować – ja już to robię – analizuję swoje błędy, ale zawsze bardzo chcę przyczynić się do zwycięstwa naszej drużyny oraz być dobrze zapamiętany.

Słyszałem też tekst typu:

– Boże on cały czas chce wystaw, a wali w pół siatki. Widać, że mi nawet do szyi nie sięga.

Owszem lubię atakować i owszem siła mojego ataku zależy od wysokości rozwieszanej siatki. Prawdziwy, dobry kolega, zamiast się wyśmiewać, wiedziałby, że mimo mojej postury walczę ze sobą i moim atakiem na wysokiej siatce. Na takiej chcę atakować, nie na niskiej, bo niska to dla mnie nie problem! On? Nawet nie musi skakać do ataku, za to ja muszę pokonać Himalaje.

W szkole jestem nie do zatrzymania. Siatka tam jest niższa niż na treningach. Wbijam same tak zwane „gwoździe”. W szkole mogę w sobie poczuć to coś!

Sami widzicie, że nie mam łatwo w klubie przez swój wzrost...

Kiedy kolega mi o powiedział o tym obgadywaniu za plecami, że chłopak nazywa mnie konusem, nie czułem się dobrze w tej sytuacji. Zresztą, kto by się poczuł, wiedząc, że ktoś nie chce cię w drużynie tylko dlatego, że jesteś przy nim niski. Postanowiłem poczekać dwa miesiące, żeby zobaczyć, czy chłopak się wreszcie ogarnie. Na próżno. Cały czas mnie obgadywał. Skąd to wiedziałem? Coraz więcej chłopaków mi o tym mówiło.

Postanowiłem tymczasowo nie przejmować się wzrostem i spróbować pokazać mu, co potrafię. Dobrze wiedziałem, że na centymetry nie mogę liczyć, dlatego chciałem poprawić swój wyskok. Szło mi całkiem nieźle, ale wyskok to nie wszystko. Musiałem liczyć się z moimi gorszymi atakami względem kolegów. Słabo się z tym czułem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że niedługo zrobię wrażenie na pozostałych zawodnikach. Po jakimś czasie na treningu miałem naprawdę udany atak. Podeszedłem do słupka, żeby sprawdzić wysokość siatki, bo aż nie chciało mi się wierzyć. Spojrzałem i okazało się, że to jest typowa wysokość siatki w kategorii młodzika: 235 cm. Byłem szczęśliwy. Powiedziałem sobie w myślach:

– Nie wierzę, to możliwe, udało mi się!

Ten atak zostanie ze mną już do końca. Będę do niego wracał w myślach.

Jestem zdeterminowany, serio! Robię, co mogę. Poza tym, co opisałem wam wcześniej, dodatkowo kombinuję, aby podkreślić wzrost dzięki diecie.

Od dwóch lat próbuję odżywiać się jeszcze lepiej. Przekonałem się do wielu ciekawych i smacznych potraw, które wcześniej odrzucałem tak po prostu. Porzuciłem białe pieczywo dla pełnoziarnistego. Jem dużo

produktów zawierających białko. Czyli jem bardzo dużo mięsa ze sprawdzonych źródeł, fasolkę po bretońsku, dużo warzyw, owoców, ogromną liczbę jajek i ostatnio specjalnie zażyczyłem sobie prawdziwe krowie mleko. Podobno mleko na wzrost nie pomaga, lecz na razie żaden specjalista mi tego nie potwierdził, dlatego motywuje mnie to do picia dużej ilości tego napoju. Oprócz kwestii żywienia wykonuję również zwiśy na drążku po około 1,5 do 2 minut. Ma to na celu wyciągnięcie ciała. Kolejną rzeczą jest sumienne kładzenie się do snu. Staram się kłaść przed 22.00 i śpię nawet po 9 godzin. Poważnie, słyszałem, że takie dosyć wczesne pójście do łóżka również trochę pomaga urosnąć. Oczywiście wiem, że mają tutaj swoje znaczenie również hormony odpowiadające za wzrost, ale czuję, że u mnie chyba to jeszcze nie zaczęło działać. Jedyną rzecz, która czasami mnie cieszy, to fakt, że udało mi się przerosnąć mamę. Czasami stajemy koło siebie i rzeczywiście jestem wyższy.

Taki mój mały sukcesik.

Chyba zakończę już te zwierzenia... Są dosyć emocjonalne, ale naprawdę jestem ostatnio zdołowany swoją sytuacją. Czuję, jakby te prawie sześć lat potu, łez i ćwiczeń szło na marne, bo nie dostałem wzrostu od losu. Tak jakby los nie chciał mi dać szansy.

O ile byłoby mi łatwiej w tym sporcie i o ile bardziej bym się liczył w oczach innych, gdybym oprócz umiejętności miał ten nieszczęsny wzrost.

Tylko że ja nie lubię się poddawać i swój smutek i rozczarowanie próbuję pokonać coraz większą pracą własną. Nie chcę, by znowu coś odebrało mi marzenia. Pamiętacie? Chciałbym wygrać mistrzostwo Europy lub mistrzostwo Polski z drużyną Jastrzębskiego Węgla.

Na razie miejsce w pierwszym składzie młodzika mam zapewnione. Może po wakacjach podrosnę i dostanę szansę gry na przyjęciu. Do września zostało jeszcze dużo czasu. Liczę bardzo na to, że jednak urosnę, choćbym miał wypić hektolitry mleka!

Rok temu wspominałem o tym, że ewentualnie przy braku centymetrów zacznę grać w siatkówkę plażową albo w ogóle zmienię dyscyplinę. Jednak szkoda by mi było, uwierzcie! Po sześciu latach nie chcę, aby moja długoletnia praca poszła na marne. Zwłaszcza po kilku fajnych osiągnięciach, które mam na koncie w halowej siatkówce. Na razie nadal pracuję nad techniką, wysokością i fizycznością. Co będzie ze wzrostem? Tego nie wiem, ale trzymajcie za mnie kciuki, proszę! Mocno! Liczę na wasze wsparcie! Przecież nie mogę być zbyt niski, by spełniać swoje sportowe marzenia...

Maria Piskorz

Krzyk wody

Krzyk roznosił się po pokoju i uciekał oknem. Powtarzał się jak mantra. Minuta w minutę, dzień w dzień, tydzień w tydzień. Zanurzyłem głowę pod wodę. Tu krzyki wydawały się cichsze. Woda miło otulała ciało i szczypała w oczy. To sprawiało, że czułem życie. Do głowy napływały mi wspomnienia z czasów, kiedy moja rodzina niczym się nie wyróżniała. Tata pracował i wracał do domu popołudniami. Mama zajmowała się domem. Siostra uczyła się w innym mieście, a ja byłem zwykłym dzieckiem. W środy pływałem, a w niedziele chodziłem na spacer. Wszystko było idealne. Bez krzyku. Bez pijanego ojca. Bez zapłakanej matki. Bez długów. Wszystko było tak bez troskie. Teraz została mi tylko woda. Jej lekki dotyk i falowanie myśli. Wynurzyłem się na powierzchnię.

Zapadła cisza. Wiedziałem, co to oznacza. Ojciec usnął, a matka siedziała zamknięta w pokoju. Na myśl o niej ścisnął mnie niekontrolowany żal. Naprawdę ją kocham, ale nie mogę znieść tego, jak daje sobą pomiatać. Wiem, że jest jej ciężko. Po tym, co się stało, nie umie się pozbierać. Straciła blask w oczach, swój uśmiech. Piękna, utalentowana kobieta zamieniła się

w szary kłębek smutku. Nie chcąc więcej o tym myśleć, wyszedłem z łazienki.

Wynurzyłem się z wody. Wiatr otulił moją twarz, dreszcz opłynął moje ciało. Pojedyncze liście zwiastujące nadejście jesieni opadły na taflę wody. Nadzieja uciekła z głowy. Odkręciłem się i znowu popłynąłem. Moje myśli owładnął szum wody. Skupiłem się na każdym fragmencie mojego ciała, na każdej kropli wody dotykającej mojej skóry. Czułem całkowitą harmonię i wewnętrzny spokój. Wynurzyłem głowę.

– No pora się zbierać, co? – spojrzałem na uśmiechniętą twarz przyjaciela. Podał mi rękę i wyciągnął z wody. Reszta drużyny stała już przy drzwiach. Pomachali mi, a ja posłałem im lekki uśmiech.

Zbliżało się południe. Głos z głośników nawoływał uczestników do stawienia się na miejsca. Ustawiliśmy się nerwowo, czekając na swoją kolej. Nastąpiła cisza. Szum w uszach. Napływały myśli, ciało było spięte. Ostre dźwięki przeszywał wewnątrz. Ruch, woda. Myśli uciekały. Widziałem tylko cel. Krótka chwila zamieniła się w całą wieczność. Nagle wszystko wydało się inne. Woda opływała moje ciało i muskała skórę jak wiatr. Krzyki tłumu zamieniły się w krzyki rodzin. Wszystko chciało się ze mnie wylać. Dopłynąłem i wynurzyłem głowę. Usłyszałem za sobą kolejny plusk. Wyszedłem z wody. Nagle wszystko stało się takie bliskie. Krzyki matki, złość ojca i ten dzień. Dzień, w którym w drzwiach mojego pokoju pojawiła się matka. Dzień, w którym pierwszy raz zobaczyłem jej łzy. Dzień, w którym usłyszałem te słowa. Zrozumiałem, że już nigdy nie zobaczę swojej siostry. Łzy popłynęły po mojej twarzy. Uniosłem głowę. Czemu

dopiero teraz to czuję? Czemu zawsze od tego uciekałem? Zaczęło brakować mi powietrza, a łzy lały się po twarzy. Krzyki tłumu coraz bardziej mnie przerażały. Wydawało mi się, że każdy jeden głos to krzyk mojej przerażonej matki. Krzyk zagubionej kobiety, próbującej tylko pogodzić się z tragedią. Krzyk mojej kochanej mamy. Moje ciało zaczęło niekontrolowanie drżeć. Nogi miałem jak z waty. Zacząłem się osuwać. Przytrzymała mnie silna dłoń.

– A więc przysłał tu pana przyjaciel?

– Tak – odpowiedziałem.

– Jaka jest pana sytuacja rodzinna? – zapytała kobieta. Nie odpowiedziałem. Spojrzała na mnie. Już wiedziała, co się dzieje.

– Pana pasją jest pływanie. Co dokładnie?

– Pływam w sztafecie – odpowiedziałem.

– Posłuchaj. To nie ma sensu. Nie musisz się bać ani ukrywać. Jestem tu, by ci pomóc – powiedziała kobieta i posłała mi delikatny uśmiech. Poczułem, że to jest ten moment, w którym wszystko może się wyjaśnić. Rozluźniłem się.

– Drogi Panie Boże. Dziękuję Ci, że pozwoliłeś mi zrozumieć samego siebie. Pozwoliłeś mi znaleźć pasję, która daje mi ukojenie. Sprawileś, że znowu mogę czuć, że żyję. Proszę, pomóż też mojej matce odzyskać radość życia i wybaczyć mojemu ojcu. Ja nie potrafię tego zrobić, ale wierzę, że Ty mu pomożesz. Amen.

Wstałem i wskoczyłem do basenu. Woda przyjemnie otaczała moją skórę i zatapiała ponure myśli. Gładziła porysowane serce. Krzyczała moim głosem, roznoszonym przez fale. Życie rodzinne to nie indywidualne zawody. To sztafeta. Sztafeta... sztafeta...

Bartosz Skępiec

Ukraiński biathlonista

CHARKÓW, LUTY 2014

Telewizor był od rana włączony. Mój ojciec oglądał relacje z kryzysu na Krymie. Rosjanie weszli tam i zajęli cały półwysep niemal bez jednego wystrzału. Mój brat miał wtedy tylko 8 lat, nie rozumiał, dlaczego moja mama płacze i nikt nie chce rozmawiać. Jeszcze przez wiele tygodni nastroje w całym kraju nie były unormowane. Moja rodzina nie uśmiechała się, nie rozumiałem dlaczego, do Krymu było daleko. W innych domach było podobnie. Kobiety płakały, wszyscy modlili się z nadzieją na lepsze jutro. W końcu jednak udało się nam powrócić do normalności. Nie zapomnieliśmy o Krymie, ale zaczęliśmy żyć normalnie. Miałem 11 lat i chciałem zostać złotym medalistą olimpijskim. Być jednym z największych, bohaterem. Wszyscy grali w piłkę, ale ja biegałem po śniegu, po jego nieskończonej bieli. Biegałem na nartach i miałem do tego talent. Trenerzy w klubie powiedzieli mi, że najlepiej to mają wojskowi i tak zostałem biathlonistą.

CHARKÓW, STYCZEŃ 2022

Kiedy wróciłem do domu, byłem zaskoczony tym, co zastałem. Czekali na mnie wszyscy, rodzina, przyjaciele, sąsiedzi. Na początku byłem zdumiony, nie było przecież dzisiaj żadnego specjalnego święta. Dowiedziałem się, że przyszedł do mnie list z powołaniem do narodowej reprezentacji Ukrainy na Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Pekinie. Omal nie zemdlałem, w głowie kłębiły mi się tysiące myśli. Stało się. Mały chłopak z Charkowa pojedzie na igrzyska olimpijskie! Okazało się, że przyszedł do nas kurier z listem, w którym znajdowała się informacja o powołaniu. Moja mama przeczytała ten list i zorganizowała spontaniczne przyjęcie-niespodziankę dla mnie. Byłem w euforii. Chciałem krzyczeć, śmiać się, płakać ze szczęścia. Kiedy w końcu po przyjęciu zostałem sam, trochę się uspokoiłem i podziękowałem Bogu za możliwość wystąpienia na najważniejszej imprezie sportowej biathlonowego – i nie tylko – świata. Nigdy wcześniej nie wystąpiłem nawet w seniorskiej kadrze, a co dopiero na igrzyskach. Ojciec mówił mi, że talent to nie wszystko, a raczej to nawet bardzo mało, kiedy się nie pracuje. Ja pracowałem bardzo dużo. I dostałem Pekin.

PEKIN, LUTY 2022

Pomyślałem, że pobyt w Pekinie może sprawić, że przestanę myśleć o rosyjskich wojskach gromadzących się przy granicy z Ukrainą. Nie można cały czas żyć potencjalną wojną. Na igrzyskach wystartowałem w dwóch konkurencjach: biegu indywidualnym na 10 km oraz w biegu pościgowym na 30 km. W obu

zająłem odległe miejsca, ale nie miało to dla mnie znaczenia. To było moje pierwsze przetarcie, sukces miał przyjść za cztery lata w Mediolanie. Cieszyłem się startem na igrzyskach, chłonałem atmosferę wioski olimpijskiej, fascynowała mnie każda chwila w Pekinie. Udało mi się poznać wielu wspaniałych ludzi, takich jak biegaczka narciarska Theresa Johaug czy narciarka alpejska Mikkelä Shifrin. Patrzyłem na wielkich norweskich biathlonistów, na braci Boe Johanesa i Thingesa, na wspaniałych Francuzów, na ich wielkie wyniki. Wszystko to było przede mną. Mój debiut był marzeniem i początkiem. Zacząłem swój bieg. Pierwszy raz mogłem uczestniczyć w takim wydarzeniu.

Tylko ta jedna rzecz mąciła moją radość. Przy granicy Ukrainy z Rosją Rosjanie gromadzili coraz więcej wojsk. Według różnych szacunków było ich już 150 000, według innych nawet 200 000. Wielu sportowców i obcych osób składało mi wyrazy współczucia z powodu tego, co obecnie działo się w moim kraju. Igrzyska trwały, telewizja podała, że Putin jest w Pekinie. W kraju nikt nie wiedział, co będzie dalej, ale nastroje były bardzo patriotyczne. Rozmawiałem z wieloma moimi znajomymi z Ukrainy i wszyscy mówili jednym, zgodnym głosem: nie uciekniemy, nie poddamy się, nie da się nas pokonać jak w roku 2014! Był to głos naszego narodu, który nigdy wcześniej nie był tak zjednoczony.

CHARKÓW, LUTY 2022

Po igrzyskach wróciłem do domu. Zdecydowaliśmy, że moja mama wraz z naszą małą siostrą wyjadą do babci mieszkającej we Lwowie, skąd miałyby

bliżej do granicy z Polską. Nikt już nie miał wątpliwości, że będzie wojna. Odbieraliśmy rosyjską telewizję, a tam cały czas mówili, że u nas faszyści rządzą, że trzeba nas wyzwolić. Wraz z mamą i siostrą pojechał do Lwowa mój młodszy, 16-letni brat. On także chciał zostać w Charkowie, ale nie zgodziliśmy się. Nigdy nie zapomnę determinacji w jego oczach, jego woli. On nie chciał uciekać. On chciał zostać. Zostać i walczyć za kraj. Teraz we Lwowie pewnie rwie się tak samo do wojny. Mówiłem mu, że jest jeszcze za mały na prawdziwą wojnę. Nigdy nie pozwoliłbym, żeby coś mu się stało. Ostatecznie zgodził się wyjechać do Lwowa, ale teraz mam przez niego wyrzuty sumienia – może powinienem pozwolić mu zostać razem ze mną i ojcem.

Kolejne dni w Charkowie napawały nas wszystkich niepokojem. Zdarzyło mi się jeszcze ćwiczyć, biegać na nartach po pięknych trasach w lasach wokół miasta. W końcu stało się to, czego od tak dawna się przecież spodziewaliśmy, ale jednocześnie nie mogliśmy uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

24 lutego 2022 roku Rosja zaatakowała Ukrainę. Chcieli szybko zająć Kijów, tak aby nikt nie zorientował się, co naprawdę się stało. Na szczęście Rosjanom nie udało się tego zrealizować. Kiedy przyszło powołanie, nie wahałem się ani chwili. Wiedziałem, że to nastąpi, w końcu pełniłem obowiązkową zasadniczą służbę wojskową. Mój ojciec również na ochotnika zgłosił się do wojska. Ochotników mieliśmy więcej niż broni dla nich. Rozmawialiśmy z rodziną we Lwowie. Moja matka płakała, błagała nas, żebyśmy uciekli do nich, a potem do jakiegoś innego państwa, do Polski albo Słowacji. Jednak my postanowiliśmy zostać. Zostać i walczyć o ojczyznę.

Szybko trafiłem na front. Nie miałem doświadczenia bojowego, pełniłem służbę wojskową dopiero od niedawna. Po kilku dniach byłem już weteranem. Bez długich treningów wytrzymałościowych, bez przygotowań taktycznych z trenerami i mentalnych z psychologiem. Starczyło kilka dni i nocy po 24 lutego. Rosjanie błyskawicznie podeszli pod moje miasto – Charków i musieliśmy go bronić. Bronić naszej wolności, a przede wszystkim życia. Wtedy coś się we mnie zmieniło. Widok rosyjskich samolotów bombardujących moje rodzinne okolice sprawił, że coś we mnie pękło. Znienawidziłem cały naród rosyjski za krzywdę jaką wyrządzili nam – niewinnym Ukraińcom. Miałem wrażenie, że zacząłem strzelać jakoś szybciej, celniej. Broniliśmy się. Nagłe ataki i odwroty, bieg z ciężkim sprzętem po zniszczeniu czołgu ze znienawidzonym „Z”. Już nie biegalem na nartach, nie miałem swojego karabinu sportowego, dystansu do przebiegnięcia i strzelnicy z czteroipółcentymetrowym celem. Rakiety spadały, a piękne miasto zamieniało się w morze ruin. Mój świat sportowca stał się tak odległy i nierealny, jakby nigdy nie istniał, a Pekin stał się odległym wspomnieniem, które ginęło w wyciu przeciwnotniczej syreny ogłaszającej kolejny alarm.

Karabin biathlonowy to bardzo precyzyjna broń. Ma kaliber 5,6 mm i niską prędkość pocisku. Idealnie nadaje się do strzelania sportowego. Większość z nas ma karabinki dostosowane do swojej budowy ciała, wyważone indywidualnie, niemal jak szyte na miarę. Niektóre z nich mają imiona. To część naszego sportu, część tak ważna jak człowiek – nie może zawieść. AK 12 jest podstawowym karabinkiem szturmowym armii rosyjskiej. Ma także kaliber 5,6 mm, jednak nie służy do zdobywania punktów na zawodach. Wojskowi

mówią, że służy do eliminowania siły żywej przeciwnika. Do zabijania takich jak ja – ludzi z marzeniami. 4 dni po wybuchu wojny zostałem postrzelony w szyję.

Na początku nie czułem nic. Potem poczułem tylko przeszywający ból, który przeniknął moje ciało aż do szpiku kości. Szybko zostałem zabrany przez sanitariuszy z pola walki. Wtedy zemdlałem. Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny, ale gdy się ocknąłem i kiedy zobaczyłem minę lekarza, wszystko już wiedziałem. Leżałem w jakimś namiocie. Na prośbę mojego ojca zostały tu przyniesione moje narty, w których przebiegłem setki kilometrów na treningach i w różnych zawodach biathlonowych. Po raz ostatni zobaczyłem swojego ojca. Uśmiechnąłem się, zamknąłem oczy i więcej już ich nie otworzyłem. Oddałem życie za mój kraj, ale nie żałuję. Gdybym mógł, zrobiłbym to raz jeszcze. Mam tylko nadzieję, że Ukraina przetrwa wojnę i że nasz naród wyjdzie z tego silniejszy. A ja zacznę swój kolejny bieg w białą dal przez cichy całun śniegu.

Jewhen Małyszew miał 19 lat. To była jego historia.

Maria Berenika Szczepańska

Zwyciężyć mimo wszystko

*Jedyne, co musisz zrobić, to nie poddawać się,
zanim zdarzy się to, o czym marzysz.*

Joe Manganiello

Czym jest pasja? Jest tym, co napędza cię do działania. Jeśli masz pasję, nie potrzebujesz jakiejś specjalnej motywacji, żeby coś robić. Po prostu wstajesz z łóżka i nie możesz się doczekać, kiedy zaczniesz. Pasja pcha cię do przodu albo raczej, jeśli wolisz, prowadzi cię do celu, którego pragniesz.

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze chciałam tańczyć i kręcić piruety na lodzie. Zakładałam kolorowe sukienki, zamykałam oczy i delikatnie obracałam się na palcach. Marzyłam o tym, żeby wszyscy zwracali uwagę tylko na mnie. Krzyczałam do rodziców:

– Mamo, tato, patrzcie, jestem tutaj, tańczę! Mamo, spójrz!

Byłam najszczęśliwszą małą dziewczynką na świecie, gdy rodzice zapisali mnie do klubu sportowego. W wieku niespełna czterech lat po raz pierwszy stanęłam na tafli lodowiska i chociaż od razu pojecha-

łam przed siebie popychana niewyobrażalną radością, wkrótce miało się okazać, że nie będzie to sport dla mnie.

Kiedy większość dzieci bawiła się na placach zabaw, ja z niecierpliwością czekałam na kolejny trening. Przez pięć dni w tygodniu jeździłam po 2 godziny dziennie na lodowisku. Ćwiczyłam trójki, przeplatanki, skoki i całe układy. Pamiętam, że często zasypiałam w samochodzie, wracając z treningu do domu, a rano nie mogłam się ruszyć. Bolały mnie wszystkie mięśnie. Czasem brakowało mi już sił, ale nie poddawałam się, marząc o złotym medalu. Z każdym jednak kolejnym rokiem i kolejnym treningiem wcale nie byłam bliżej swoich marzeń. Coraz bardziej stawało się oczywiste, że nie miałam żadnych szans w sportowej rywalizacji o podium. Problemy z koordynacją ruchową bardzo dawały mi się we znaki, uczyłam się sekwencji kroków znacznie dłużej niż klubowi koledzy.

Nadszedł jednak dzień, gdy dostałam szansę startu w moich pierwszych zawodach sportowych. Przypominam sobie, jak bardzo czekałam na to wydarzenie. Byłam przerażona, a stres nie pomagał mi w mobilizacji sił, ale przecież musiałam udowodnić sobie, że zapracowałam na uznanie w oczach trenerów i rodziców.

– Nie zdobędę medalu, teraz wszyscy zobaczą, jaka jestem słaba – myślałam. Nie ma to jak wiara we własne możliwości, czyż nie? – Raz kozie śmierć – szepnęłam do siebie. – Co ma być, to będzie. – Na lodowej tafli byłam sama. Nikt nie mógł mi już pomóc.

– Brawo, kochanie! – usłyszałam jeszcze głos mamy i wyjechałam na lód. Tak bardzo nie chciałam jej zawieść.

Oczekiwanie na tamten werdykt pamiętam do dziś. Czas włókł się niemiłosiernie. Od samego początku

miałam wrażenie, że moje klubowe koleżanki Zosia, Ola i Julka były o niebo lepsze ode mnie. – Co one mają takiego w sobie, czego ja nie mam? Dlaczego zawsze zwyciężają? – zastanawiałam się. Trzeba przyznać, że dziewczyny były bardzo pewne siebie. Tańczyły pięknie. Lekko i zwinnie kręciły piruety, skakały wysoko, dynamicznie. Wtedy, gdy zobaczyłam, jak zgarnęły wszystkie medale, uświadomiłam sobie, że nie będę sportową mistrzynią.

– Dlaczego ja tak nie potrafię? Tyle czasu trenuję. Co robię źle? – nie mogłam pozbyć się dręczących mnie myśli. Nie mogłam pogodzić się z przegraną. Pamiętam, że zesłam z tafla z miną zbitego psa, otrzepując swoje ubranie od góry do dołu. Przepelniona złością ściągnęłam łyżwy z nóg, mruczając pod nosem: – Co za wstyd, nigdy więcej...

Wkrótce przestałam na nich jeździć i zrezygnowałam z uprawiania sportu.

– Dziecko, co się z tobą dzieje? – coraz częściej słyszałam zaniepokojony głos mamy, gdy całymi dniami przesiadywałam w swoim pokoju, rysując na tablecie. Mama chyba już wiedziała, że tęskniłam za treningami i sportowym trybem życia, chociaż tak bardzo starałam się ukryć swoje uczucia. W ogóle nie miałam też ochoty na jakąkolwiek rozmowę na ten temat. Pewnego dnia mama usiadła koło mnie, przytuliła mnie i zaczęła spokojnie opowiadać:

– Oglądałam niedawno taki program o trenerce, która tańczyła na rolkach. Ta dyscyplina, którą uprawiała, przypominała trochę łyżwiarstwo, wiesz?

Poczułam w tym momencie, że serce zabiło mi mocniej. Nie przerwałam po raz pierwszy od wielu miesięcy naszej rozmowy. Chciałam, aby opowiadała dalej. Mama kontynuowała:

– Trenerka założyła niedawno szkołę w Warszawie. Jej podopieczni jeżdżą różne triki w połączeniu z muzyką.

– Naprawdę jest coś takiego? – zainteresowałam się tym, co przed chwilą usłyszałam.

– Tak, to freestyle slalom. Zadzwoiłam do niej i umówiłam cię na pierwszy trening.

– Córciu, próbujesz? – zapytała.

– Nie wiem, czy się nadaję – wyznałam. – A co będzie, jak się okaże, że i tym razem nie dam rady? – obawiałam się. Byłam naprawdę przerażona, ale i zaciekawiona jednocześnie. – A jeśli się jej nie spodobam? A co jeżeli znowu będę najgorsza?

Milion myśli krążyło jednocześnie w tamtej chwili w mojej głowie. Ostatecznie jednak chyba zwyciężyła ciekawość i tęsknota za regularnymi treningami. Mama wytłumaczyła mi, że najważniejsza jest przyjemność płynąca z uprawiania sportu. Zaufałam jej.

Na szczęście trafiłam też na cierpliwych i wspierających trenerów. Freestyle slalom stał się moją największą pasją, a uprawianiu tej dyscypliny zawdzięczam wiele cech swojego charakteru. To prawda, że sport bardzo uszlachetnia. Nauczył mnie pokory, szacunku do siebie. Nauczył mnie też systematyczności, ponieważ wykonywania niektórych trików od A do Z uczyłam się przez wiele miesięcy.

Mijają kolejne lata, ja nadal trenuję, a moim głównym celem jest dziś radość, którą czerpię z uprawiania sportu. Zrozumiałam, że tak naprawdę potrzebne są nie predyspozycje i talent, ale chęci, upór i setki godzin spędzonych na rolkach. Przed szkołą, gdy akurat mam wolną chwilę, po szkole, ponieważ wtedy też najlepiej odpoczywam. Gdy ktoś lub coś mnie zdenerwuje, idę na rolki, ponieważ nigdzie lepiej nie odreaguję,

i gdy mam „lenia”, ponieważ nic mnie lepiej nie zmobilizuje. Na rolki idę się zmęczyć i idę odpocząć. „Naładować akumulatory” albo trenować do późna w nocy, aby potem z satysfakcją móc spokojnie zasnąć. Nie jest dla mnie ważne, jak jeżdżę i czy w ogóle daję radę nauczyć się jakiegoś nowego triku. Nie jest też dla mnie ważne, ile zrobię obrotów i czy utrzymam się kręcąc piruety na *chicken leg*.

Często włączam muzykę, zamykam oczy i po prostu tańczę. Tańczę na rolkach. Czasem ktoś z gapiów, czasem ktoś z przyjaciół zapyta:

– Ale tobie się tak chce?

– Przecież ty marzysz o weterynarii, to czy to warto?

– Nie chcesz być sportowcem przecież... A co, jeżeli nigdy nie staniesz na podium?

To wszystko nie jest dla mnie już tak ważne. Mam za sobą kilka występów na pokazach i zawodach slalomowych. Choć ten sport dał mi ogromną siłę i wiarę we własne możliwości, to przede wszystkim mam pasję. A przecież nic tak nie dodaje skrzydeł jak pasja, zwłaszcza ta, która sprawia radość.

Dziś otrzymałam licencję zawodniczą. Mogę rywalizować z najlepszymi freestyle slalomowymi zawodnikami w Polsce, a nawet w Europie. Osiągnięcie sportowego poziomu zajęło mi dziewięć lat.

Moja historia pokazuje, że marzenia się spełniają. Może nawet kiedyś zdobędę medal dla Polski i usłyszę *Mazurka Dąbrowskiego*?

Mam na imię Berenika. A ono oznacza tę, która zwycięża. I ja zwyciężyłam. Zwyciężyłam mimo wszystko...

LAUREACI 2022

Uczniowie szkół podstawowych – klasy IV–VI

ZUZANNA BUKOLT (kl. IV)

– *Prawy sierpowy z warkoczem*

Szkoła Podstawowa nr 10 im. Jana Kochanowskiego
z Oddziałami Sportowymi w Bydgoszczy

Opiekunka naukowa: Magdalena Januszewska

LEON GAUDZIAK (kl. VI)

– *Moja przygoda ze sportem*

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 26 STO
w Warszawie

Opiekun naukowy: Stanisław Dutka

MICHAŁ KICIŃSKI (kl. VI)

– *Kiedy zdobywasz swój Mount Everest...*

Zespół Szkolno-Przedszkolny w Bądkowie

Opiekunka naukowa: Natalia Krzesiak

WIKTOR LIPA (kl. V) – *Czy można stracić marzenia?*

Szkoła Podstawowa nr 2 im. Batalionów Chłopskich
w Sułoszowej

Opiekunka naukowa: Irena Wojtowicz-Dzień

MARIANNA PAPLIŃSKA (kl. V) – *Haniebny fortel*

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 10 STO
im. kard. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Opiekunka naukowa: Małgorzata Białek

MAJA PAWLACZYK (kl. V) – *Jesienny liść*
Publiczna Szkoła Podstawowa
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Żytniowie
Opiekunka naukowa:
Katarzyna Leszczyńska-Niedrygoś

AMELIA POLAK (kl. IV) – *Nigdy się nie poddawaj*
Szkoła Podstawowa nr 42 z Oddziałami
Integracyjnymi im. Konstantego Ildefonsa
Gałczyńskiego w Warszawie
Opiekun naukowy: Michał Apczyński

MAŁGORZATA SIECIŃSKA (kl. VI) – *Być jak Pelé*
Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi
nr 82 im. Jana Pawła II w Warszawie
Opiekunka naukowa: Agnieszka Wenda

FLORIAN WIENKE (kl. IV) – *Niesamowity Szwed*
Szkoła Podstawowa nr 3 im. Adama Mickiewicza
w Szamotułach
Opiekunka naukowa: dr Aleksandra Araszkiewicz

MAJA WRÓBEL (kl. V) – *Chcę być jak ona*
Szkoła Podstawowa im. Adama Mickiewicza
w Białaczowie
Opiekunka naukowa: Joanna Świątek

Opiekunowie naukowci – laureaci (klasy IV–VI)

MICHAŁ APCZYŃSKI

Szkoła Podstawowa nr 42 z Oddziałami
Integracyjnymi im. Konstantego Ildefonsa
Gałczyńskiego w Warszawie

KATARZYNA LESZCZYŃSKA-NIEDRYGÓŚ

Publiczna Szkoła Podstawowa
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Żytniowie

JOANNA ŚWIĄTEK

Szkoła Podstawowa im. Adama Mickiewicza
w Białaczowie

Uczniowie szkół podstawowych – klasy VII–VIII

MIKOŁAJ ADAMCZYK (kl. VIII) – *Przez maskę marzeń*

Szkoła Podstawowa im. Naszej Przyrody
w Woźnikach
Opiekunka naukowa: Teresa Kolber

ZOFIA BARADZIEJ (kl. VII) – *Biegnij!*

Szkoła Podstawowa nr 109
im. Kornela Makuszyńskiego w Krakowie
Opiekunki naukowe:
Urszula Stachurska-Czaja, Monika Górkiewicz

JULIA DUŃKO (kl. VIII) – *Moje olimpijskie marzenia...*

Szkoła Podstawowa nr 3 z Oddziałami

Integracyjnymi w Biłgoraju

Opiekunka naukowa: Małgorzata Drożdziel

MAJA KLEJMAN (kl. VIII) – *Presja*

Społeczna Szkoła Podstawowa nr 11 STO

w Warszawie

Opiekunka naukowa: Magdalena Kowalczuk

MARIANNA KRÓLICKA (kl. VIII) – *Woda – mój żywioł*

Szkoła Podstawowa nr 341 im. Twórców Literatury

Dziecięcej w Warszawie

Opiekunka naukowa: Elżbieta Kalita

NEL KUCZAJ (kl. VII) – *Stawiam na pasję!*

Szkoła Podstawowa w Mysłkowicach

Opiekunka naukowa: Marzena Chyży

MICHAŁ PAWŁOWSKI (kl. VII)

– *Zbyt niski na marzenia?*

Szkoła Podstawowa nr 321 w Warszawie

Opiekunka naukowa: Aneta Dziedzic

MARIA PISKORZ (kl. VIII) – *Krzyk wody*

Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II

w Starych Kobiałkach

Opiekunka naukowa: Agata Świdzka

BARTOSZ SKĘPIEC (kl. VIII) – *Ukraiński biathlonista*

Szkoła Podstawowa nr 141

im. gen. Mariusza Zaruskiego w Łodzi

Opiekunka naukowa: Małgorzata Walczak

MARIA BERENIKA SZCZEPAŃSKA (kl. VIII)

– *Zwyciężyć mimo wszystko*

Szkoła Podstawowa nr 70 z Oddziałami

Integracyjnymi im. Bohaterów Monte Cassino

w Warszawie

Opiekunka naukowa: Hanna Gembara

Opiekunowie naukowci – laureaci (klasy VII–VIII)

TERESA KOLBER

Szkoła Podstawowa im. Naszej Przyrody

w Woźnikach

URSZULA STACHURSKA-CZAJA, MONIKA GÓRKIEWICZ

Szkoła Podstawowa nr 109 im. Kornela

Makuszyńskiego w Krakowie

MAŁGORZATA WALCZAK

Szkoła Podstawowa nr 141 im. gen. Mariusza

Zaruskiego w Łodzi

Spis treści

Słowa wstępne

Andrzej Kraśnicki, Prezes Polskiego Komitetu
Olimpijskiego 5

Dorota Koman-Szmigiero, Fundacja ABCXXI –
Cała Polska czyta dzieciom 7

Krzysztof Zuchora
Myśli stają się czystsze i jaśniejsze 9

Jury XXXII Ogólnopolskiego Konkursu
na opowiadania o tematyce olimpijskiej
im. Jana Parandowskiego 15

LAUREACI

UCZNIOWIE SZKÓŁ PODSTAWOWYCH
KLAS IV–VI 17

Zuzanna Bukolt

Prawy sierpowy z warkoczem 27

Leon Gaudziak

Moja przygoda ze sportem 34

Michał Kiciński

Kiedy zdobywasz swój Mount Everest... 41

Wiktor Lipa

Czy można stracić marzenia? 45

Marianna Paplińska

Haniebny fortel 54

Maja Pawlaczuk

Jesienny liść 60

Amelia Polak

Nigdy się nie poddawaj 64

Małgorzata Siecińska	
<i>Być jak Pelé</i>	74
Florian Wienke	
<i>Niesamowity Szwed</i>	82
Maja Wróbel	
<i>Chcę być jak ona</i>	88

LAUREACI

UCZNIOWIE SZKÓŁ PODSTAWOWYCH KLAS VII–VIII

95

Mikołaj Adamczyk	
<i>Przez maskę marzeń.</i>	107
Zofia Baradziej	
<i>Biegnij!</i>	117
Julia Duńko	
<i>Moje olimpijskie marzenia...</i>	121
Maja Klejman	
<i>Presja</i>	127
Marianna Królicka	
<i>Woda – mój żywioł</i>	136
Nel Kuczaj	
<i>Stawiam na pasję!</i>	140
Michał Pawłowski	
<i>Zbyt niski na marzenia?</i>	147
Maria Piskorz	
<i>Krzyk wody</i>	155
Bartosz Skępiec	
<i>Ukraiński biathlonista</i>	158
Maria Berenika Szczepańska	
<i>Zwyciężyć mimo wszystko</i>	164
Laureaci 2022	169

SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor Kolekcji
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik



Główny Partner
Medialny



Oficjalny Partner
Medialny



Partnerzy Medialni
PKOl



Partnerzy
PKOl



Partner Młodzieżowej
Reprezentacji



SZYBCIEJ,
WYŻEJ,
SILNIEJ

= RAZEM

